

STEFAN ŻEROMSKI

O ŻOŁNIERZU
TUŁACZU



KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU
BOULEVARD SAINT-GERMAIN NR. 123

O ŻOŁNIERZU TUŁACZU

STEFAN ŻEROMSKI

O ŻOŁNIERZU TUŁACZU

WYDAWCA: KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU

Wydanie pierwsze 1902 r.

1902



KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU
BOULEVARD SAINT-GERMAIN NR. 123

DR. RAFAŁOWI RADZIWIŁŁOWICZOWI

przesyła na pamiątkę

AUTOR

I.

Skoro świt, a nim grube mroki pobladyły w dolinie, stukano we drzwi mieszkania, zajętego w gospodzie „zum Bär” na kwaterę dowódcy. Gudin zepchnął w tej chwili nogą pierzynę, wyskoczył z łóżka i rozebrany poszedł drzwi otworzyć. Stało w nich i zwolna weszło do izby kilku oficerów w kostjumach, narzuconych niedbale, oraz sierżant jednej z kompanii trzeciego batalionu. Generał wlaź na wysokie posłanie łóżka, usiadł w kuczki i zwrócił się do sierżanta, który, wyprężony jak struna, zginał kark, żeby nie uszkodzić pompona przy kapeluszu, zawadzającego o stragarz powały niskiego pokoju.

— No i jakże, byłeś? — zapytał, wycierając oczy.

— Byłem, obywatelu generale, z sześcioma ludźmi. Gdzie się rzeka zakręca...

— Co rzeka! Widziałeś ich? — zawołał porywczo i z niepokojem.

— Z daleka...

— Któż to był? Szyldwachy?

— Widzieliśmy szyldwachów, ale także i regularnych.

— Gdzież oni byli?

— Kilkunastu żołnierzy paliło ogień przy jeziorach na dole, inni wspinali się ścieżką, a na samej górze przechadzało się kilku sztyldwachów.

— Czy was spostrzegli?

— Tak, obywatelu generale... — szepnął sierżant nieśmiało.

— Widziałeś schronisko Grimsel-Hospiz ?

— Nie obywatelu...

— Więc gdzież ty byłeś, u licha, jeżeliś nawet tam nie doszedł?

— Schronisko musi być za wałem. Ten wał jest jakby groblą jezior, które tam leżą i któreśmy z daleka widzieli.

Generał zamilkł i usiłował odnaleźć te same punkty na mapie, rozłożonej obok jego łóżka. Oficerowie, skupieni przy jednym z okien, rozsunęli perkalowe firanki, ale niewiele światła weszło do izby, gdyż brzask jeszcze nie tknął cieniów, schowanych w podwórzach i zaułkach między domostwami.

Ktoś skrzesał ognia i zatlił małą świeczkę łojową.

— Dziękuję... — rzekł Gudin półgębkiem, nie podnosząc głowy. Po chwili bystro wejrzał na sierżanta i głośno, z szyderstwem zawołał:

— Czy to prawda, co powiadają naoczni świadkowie i znawcy, że te pozycje są nie do zdobycia? Czy prawdą jest, co powiadają, że nasze francuskie męstwo nic tu nie poradzi, że nasz francuski geniusz w kpa się tu zamieni, że białe Austriacy za-

rzucą nas z tych gór swemi pochyłemi bermycami, — powiedz, Râteau...

— To jest miejsce nie do zdobycia — rzekł sierżant pośepnie.

W grupie oficerów przemknął się szept bardzo cichy. Generał zwolna podniósł głowę i zmierzył okiem pełnem nienawiści kapitana, stojącego we framudze drugiego okna.

— Czy pozwolisz mi, obywatelu generale, zadać sierżantowi kilka pytań? — rzekł ten oficer ze spokojnym uśmiechem, w którym zamknięte było jadowite szyderstwo.

— Uprzejmie proszę... rzekł Gudin.

— A więc to prawdą jest, co powiadają — zwrócił się kapitan do sierżanta, — że, stojąc na Grimsel, nieprzyjaciel zasypałby nas nie bermycami, ale stosami kamieni? Że byłby w możności nędznie załuc nas, wdzierających się pod górę, jak niegdyś chłopci ze Szwycu zgruchotali przodków tych białych Austrjaków pod Näfels, z taką wszakże różnicą, że my szlibyśmy na górę pewni nietylko śmierci, ale także i hańby naszego geniuszu... Râteau! — rzekł kapitan głośniejszym głosem. — Ty wiesz, że ja się nie boję...

— Słyszałem, obywatelu Le Gras, że pragniesz zadać sierżantowi jakieś tam pytanie... — rzekł Gudin.

— Tak. Pragnę mu zadać kilka pytań. Jak długo zśliście od miejsca, gdzie się dolina zwęża — do jezior.

— Szliśmy — rzekł sierżant — chyba ze trzy godziny.

— Jaka jest na tej przestrzeni szerokość doliny?

— Ze ścieżki, po której szliśmy, dorzucałem w najszerszych miejscach kamieniem do drugiej ściany wąwozu, a prawie wszędzie cały spód jego zajmuje rzeka.

— Wszak prawda, że w pewnych miejscach ścieżka idzie na wysokości kilkuset metrów?

— Nie inaczej, obywatelu kapitanie.

— Że na tej ścieżce może obok siebie postępować najwyżej dwóch ludzi?

— Tak jest, obywatelu.

— Że zanim w pięć bataljonów zdołamy dotrzeć do jezior, już Austriacy, ukryci za skałami mogą wystrzelać połowę naszej kolumny, idącej dwójkami?

— Tak myślę...

— A czy przez szkła widziałeś ścieżkę, od jezior prowadzącą na Grimsel?

— Dostrzegłem ją, obywatelu.

— I dlatego mówisz nam, że miejsce jest niezdobyte?

— Tak jest.

— Obywatele! — powiedział niedbale Gudin, zwracając się do wszystkich — wyruszamy dziś i to niezwłocznie dla zdobycia szturmem przejść; Grimsel, Furka, Gotthard...

— I Monte Rosa... — szepnął kapitan Le Gras tak

cicho i niewyraźnie, że te dwa słowa mogły bardzo dobrze uchodzić za kaszel.

— Plan operacji całej wydany został w kwaterze głównej. Podpisał go Massena. Uruchomiliśmy 27 termidora 30 tysięcy wojska. Bracia nasi walczą w tej chwili na śmierć i życie. Idą w górę Reussu, uderzają na przejście „z u m S t e i n”, aby spaść na doliny Meyen, biją się w dolinie Rodanu, a my śmieliżbyśmy leżeć beczynn timer tutaj w Gutannen? Zwyciężymy, czy zginiemy od kamieni, od kul, od bagnatów, ale pójdziemy zdobywać tę górę, chociażby z jej szczytu strzelano do nas piorunami! Z przyjemnością przedstawiłbym wam plan całej naszej wyprawy, ale brak mi czasu. Zanim się ubiorę, chciałbym wyłożyć ten plan w obecności, dajmy na to, kapitana Le Gras. Może zechce tu również zostać jeszcze podpułkownik Labruyère...

Oficerowie i sierżant gromadnie wyszli ze stacji. Gudin zerwał się z łóżka i, wdziewając pośpiesznie swój uniform, rozkładał mapy, wskazywał linie operacyjne pochodu, wyznaczone czerwoną barwą — i szybko wykładał:

— Wiadomo... — mówił — że arcyksiążę Karol zajmuje swemi wojskami olbrzymi łańcuch pozycji: Od Simplonu i miejsciny Brieg w dolinie Rodanu — aż do Zurichu. Ma on do rozporządzenia 78 batalionów piechoty, 85 szwadronów jazdy, czyli 64.613 żołnierzy i 13.299 koni. Posiada wszystkie przejścia i wszystkie drogi środka Alp, więc: Grimsel i Furka, dolinę Urseren, Teufelsbrücke,

całą linię Reussu aż do jeziora Czterech Kantonów wraz z dolinami napoprzek do niej idącemi, — więc z Meyen i z Issi; dalej: — rozdół Szwycy, płaskowzgórze Einsiedeln z przełęczą Etzel, dolinę Sihlu i Zurich. Uderzamy na nieprzyjaciela ze wszystkich stron, mamy wyprzeć go ze wszystkich stanowisk, porozcinać go na grupy, rozerwać ich łączność — i wygnać, — zanim tamci nadciągną. Thurreau uderzy na brygadę Straucha w dolinie Vallais, my wstąpimy na Grimsel, wyrzucimy nieprzyjaciela z pozycji i źródeł Rodanu i weźmiemy go w dwa ognie, ażeby zmuszony był uchodzić na włoską stronę, którą mu się żywnie podoba. To uczyniwszy, zajmiemy przejście Furka, dolinę Urseren, Urnerloch, Teufelsbrücke i dolinę Reussu... Wiadomo — mówił, ożywiając się i gwałtownymi ruchy wskazując na mapę, — że rozstaliśmy się w Interkirchen z generałem Loison i że ten dzielny człowiek poprowadził swe dwa bataliony i trzy kompanie w dolinę Gadmen, skąd ma wstąpić nad Steinen, wysadzić nieprzyjaciela z pomiędzy lodów i zejść przez Meyen-Thal do Waasen. Daumas idzie z Engelbergu, ażeby przez Surenen wejść do wąwozu Reussu. Z czoła, od Fluelen uderzy na Austriaków sam Lecourb. Chciejcież zważyć, że los operacji od nas zależy. Jeżeli odbierzemy Grimsel, to zadajemy cios nieprzyjacielowi w samo serce, bo zdobywamy czworobok, który tu oznaczyłem czerwoną linią. Czworobok ten idzie: z Interkirchen do Waasen, z Waasen do Teufelsbrücke,

stamtąd do Furka i Grimsel a z Grimsel do Interkirchen. Dopóki nieprzyjaciel ma Grimsel i Urseren, — niceśmy nie wygrali, może bowiem siedzieć w tych miejscach, jak w fortecy i mieć połączenie z doliną Tessinu przez Gotthard, a z Chur przez dolinę Renu. Tymczasem obywatel Le Gras uważa wyprawę na zdobycie tej głównej pozycji za coś tak błahego, że śmiał wobec połowy oficerów kolumny, ba! wobec sierżanta — drwić ze słów moich. Gdyby nie to, że dziś idziemy, powinienbym cię obywatelu, natychmiast skazać na śmierć.

— O!... — mruknął Le Gras, przytykając swe piękne oczy.

— Tak! — zawołał Gudin, — niesubordynacja dosięgła takiego stopnia, że oficerowie drwią z generałów, że prości żołnierze mruczą, gdy się wydaje rozkazy...

— Generale! — szepnął Le Gras, — niesubordynacja idzie jeszcze dalej: żołnierze nie tylko wyrzekają, ale nawet nie jedzą po całych dniach.

— Ja im w tych górach obiadów nie stworzę!...

— Oni też nie liczą na sztukę stwarzania i w sposób idyliczny rabują szwajcarskie wsie i miejsciny. Przyszli z jednej i niepodzielnej rzeczypospolitej, mieli przynieść na ostrzu bagnatów braterstwo i inne przysmaki, tymczasem wnieśli tu przemoc i gwałt, a zostawiają, jako ślad swego pochod, — ruiny i popioły. Cóż to uczyniliśmy z Meiringen, z Interkirchen?

— Kogo śmiesz pytać, obywatelu? — wrzasnął Gudin.

— Generała, który ma prawo skazać mię na śmierć i rozstrzelać. Jestem nieznanym oficerem, jestem tak dalece pozbawionym koligacji, że nie mam nawet stryja, któryby mię protegował... Istotnie! jestem z motłochu. Widziano mię wśród sankiulotów za dni wrześniowych. To też, kiedy generał brygady Cezar Karol Stefan Gudin de La Sablonnière zapytuje mię...

— Nie odpowiadam na podobne zaczepki! — rzekł dumnie generał, bokiem odwracając się do hardego kapitana i wydymając usta. — Nie stryj mię proteguje, lecz ja sam siebie! Byłem na San Domingo, w armii Ardenów pod Ferrandem, byłem w armii północnej i w reńskiej, byłem w Niemczech pod Moreau, krwią i ranami zdobyłem szlify w dolinie Kintzig...

— Kapitan Le Gras pragnie złożyć plan operacji, celem której jest zdobycie Grimsel — rzekł wolno i oziębłe podpułkownik Labruyère, mężczyzna ogromnego wzrostu, z wielką wygoloną twarzą, obwisłą dolną wargą i posepnie mądrym wyrazem oczu. Milczał on dotąd, jak gdyby sprzeczkę toczono w języku, którego wcale nie rozumiał, i z wyrazem absolutnej obojętności badał swe paznokcie.

— Kapitan Le Gras? — rzekł generał, potężnym aktem woli tłumiąc w sobie rozszalałą pasję i usiłując zagasić blask nienawiści w spojrzaniu. — Słucham... co za plan?

— Wczoraj nad wieczorem — zaczął mówić Le Gras — wracając z rekonesansu, po zbadaniu całej wyższej części doliny Hasli, za zbliżeniem się do wodospadu Handeck, spostrzegłem chłopą, który na zboczu góry kosił trawę. Dałem znak grenadjerom i zbliżyłem się na ich czele do podnóża tak ostrożnie, że szwajcar nas nie dostrzegł. Zakomenderowałem po cichu i czterech żołnierzy na cel go wzięło. Wówczas krzyknąłem, rozkazując, żeby schodził do nas bez zwłoki. Chłop oniemiał z przerażenia. Wprędce zsunął się po stromej pochyłości i stanął przed nami wylękły. Zacząłem go badać, skąd jest i co tam robił. Jest to gospodarz stąd, z Gutannen, nazywa się Fahner. Dowiedziawszy się, że idziemy z Interkirchen w górę Hasli, uciekł popospołu z innymi mieszkańcami tej wioski z bydłem i dobytkiem — w nagie góry. Na zapytanie, gdzie się obecnie ci mieszkańcy znajdują, wskazał mi ręką jakieś wertepy pod szczytami. W istocie — odgłos dzwonek, które pasterze tutejsi przywiązują do szyji krów i kóz, słyszałem niezmiernie wysoko. Począłem ściśle rozpytywać tego chłopą o ścieżki i drogi górskie, gdyż niepodobieństwem mi się wydawało zdobycie przełęczy od frontu, — jak to już raz zresztą miałem honor wczoraj zaznaczyć w twojej, obywatelu generale, przytomności.

Po długiej indagacji udało mi się wydusić z niego oświadczenie, że stąd na Grimsel można przejść nie tylko dołem, nie tylko brzegiem Aaru, jak tego

żąda czerwona linia, ale także i górą, po szczytach. Wziąwszy tę okoliczność pod uwagę — mówił Le Gras — przyszedłem do wniosku, że zamiast wdzierania się na przełęcz z dołu, po gładkich ścianach, w szacie, co prawda, geniuszu francuskiego, ale także wśród gradu kul i zepchniętych urwisk, — może byłoby wygodniej przebyć łańcuch górą, stamtąd, niby z obłoku, zwalić się na nieprzyjaciela i wziąć szponami cały jego obóz, jak orlik bierze gniazdo trznadłów...

Gudin usiadł na krześelku, przywalony niezmiernym ciężarem tej wiadomości. W gardle mu tak zaschło, że nie był w stanie słowa przemówić. Ciępnął niezdolnie, dostrzegając bez wzniesienia powieki, że Le Gras patrzy na niego i że się od niechcenia z pobłażliwością uśmiecha.

— Gdzie jest ów chłop? — zapytał dowódca nareszcie.

— Trzymam go pod strażą w izbie, przeznaczony na moją kwaterę. Rozmawialiśmy z nim w nocy. Właśnie podpułkownik...

— Czy istotnie zna ścieżkę, po której mogłoby przejść pięć batalionów wojska?

— Mówi, że góra w pewnym miejscu jest dostępna. Jest to, rzecz naturalna, przeprawa ogromnie trudna. Trzeba iść po lodowcu...

— Ach, więc tak... — rzekł Gudin, aby tylko coś powiedzieć.

Stamtąd możemy odrazu wstąpić na Furkę, czy zejść wprost do Urseren. Chłop zgodził się

przeprowadzić nas aż do 'Grimsel. Kiedy go zapytałem, jakiejby za to żądał nagrody, wyraził życzenie. Pragnąłby otrzymać na własność łąkę, leżącą z prawej strony Aaru u wejścia do ciasnego Hasli. Nie wiem, czy postąpiłem roztropnie: przyrzekłem mu...

— Przewodnik zostanie sownie wynagrodzony, jeżeli zasłuży. To się zobaczy... Cokolwiek bądź i którydykolwiek, — idziemy — rzekł generał, przybierając minę tęgą. — W każdym razie pragnąłbym zobaczyć tego człowieka i sam z nim pomówić. Za chwilę będę panom służył. Chciejcie obwieścić pochód.

Obydwaj projektodawcy opuścili mieszkanie generała i wśród tłumu wojska przeszli do obszernej chaty, stojącej w pobliżu protestanckiego kościołka. Tam właśnie pojmany Fahner siedział, strzeżony jak oko w głowie przez kilku żołnierzy. Dwaj oficerowie jęli zadawać mu nowe pytania, na co Fahner odpowiadał straszliwą francuszczyzną. Nim zdołali pojąć to wszystko, co im prawić, i zakreślić na mapie miejscowości, które nazywał, dały się słyszeć gromkie okrzyki, zwiastujące, że dowódca już wyszedł. Przerwano tedy rozprawę i Fahner w otoczeniu żołnierzy, na czele których szedł Le Gras, wyprowadzony został z izby. Przede drzwiami hotelu na wybrukowanym wzniesieniu stał Gudin. Pióra i szerokie galony na jego trójgromnym kapeluszu, haft na wysokim odwiniętym kołnierzu i na szerokich kłapakach fraka, mimo

półcienia, błyszczały tak uderzająco, że Fahner od razu poznał wodza i zdjął kapelusz. Zdumiewała go tylko młodość tego naczelnika. Gudin miał lat dwadzieścia dziewięć.

Długie włosy, czarne jak krucze pióra, spadały pierścieniami na jego ramiona. Piękne czarne oczy uśmiechały się szczerze do wiarusów, pozdrawiających Francję. Oficerowie tworzyli szeregi, umieszczając na drodze kompanje już gotowe do marszu. Bataliony drugi, czwarty i piąty stały jeszcze w łąkach. Część pierwszego myła się dopiero na brzegu Aaru. Żołnierze czesali swe długie, zakurzone i skudłane włosy, wiązali je w tyle głowy jedni drugim powrózkami w harcocyfy, prali koszule i niewysuszone kładli na się z pośpiechem, łatali trzewiki i czyścili karabiny.

Dwa szeregi grenadjerów ubranych wyciągnęły się daleko w opłotki po jednej i po drugiej stronie miasteczka. Czerwone pompony i trójkolorowe kokardy na ogromnych czarnych kapeluszach utworzyły długi szlak barwny; białe skórzane pasy od ładownic i pałaszów, krzyżujące się na piersiach żołnierzy, odbijały wyraźnie od czarnych chustek i granatowych mundurów. Cała ta kolumna była obdarta i wynędzniała. Prawie wszyscy mieli chodaki dziurawe, kamasze bez guzików a wystrzępione, jak mokassiny, spodnie rozmaitej barwy i pochodzenia. Z pod fraków, wyciętych na piersiach półokrągło tuż prawie pod klapami, widniały zamiast kamizelek brudne koszule. Natomiast każdy

miał guziki na żabotach i tyle fraka, spinające zawinięte brzegi pół, wyczyszczone cegłą na czysto.

Gudin w towarzystwie kilku oficerów przeszedł wzdłuż szeregu, a później skierował się ku domostwu, w drzwiach którego stał Le Gras z Fahnerem.

— Oto jest przewodnik, generale — rzekł kapitan, rozsuwając żołnierzy.

Dowódca zobaczył przed sobą mężczyznę wielkiego wzrostu z rękoma i stopami kolosalnych rozmiarów. Rudawy zarost okrywał policzki tego chłopca aż prawie do samych powiek, dawno niestrzyżone włosy sterczały na jego wielkiej głowie, jak pęki trzciny. Duże, łagodne, siwe oczy spoglądały na dowódcę ciekawie, oczy potomka Normanów, którzy, według legendy, przyszli ze Skandynawii, osiedli w Haslithal i zbudowali jej małe miściny. Fahner miał na sobie podarty kusy spencer, brudną koszulę i krótkie zgrzebne spodnie. Na nogach miał trepy wystrugane z drzewa, bez przyszwyy, podbite szeregiem ćwieków z ogromnymi łbami, a przywiązane do stopy sznurkami.

— Czy jest droga stąd na Grimsel, oprócz idącej w głąbi doliny? — zapytał Gudin.

— Droga?... Nie, drogi niema...

— A wszakże mówiłeś, że przejść można?

— Przejść można — odpowiedział Fahner. —

Tak, przejść można.

— Tam... — rzekł chłop, wysuwając się naprzód i wskazując najbliższy szczyt po lewej ręce od Gut-

annen. Ażeby zobaczyć tę drogę, wszyscy musieli zdrzeć głowy.

— Czy sądzisz, że tamtędy może przejść cała nasza kolumna?

— Czy może? Cała kolumna? Dlaczegożby nie mogła przejść cała kolumna? Dobrze mówię: cała kolumna... Tam przejdzie każdy, kto zna drogę. Kto nie zna i kto jest słaby — ten idzie dołem, a później obok jezior. Komu pilno do Realp, do Hospenthal, albo do Andermatt, taki idzie przez tę wysoką drogę. Kto zna miejsce, bo kto jest słaby w rękach, albo w nogach...

— A ty znasz ją, obywatelu?

— Czy ja znam tę drogę? No tak, ja ją znam, tę drogę. Ja tam chodzę, jak każdy inny z Hasli. Teraz śniegi już zeszły, lawiny w tem miejscu się nie trafiają. Dlaczegoż? przejść można, kto zna drogę i kto jest silny... Od wodospadu pójdzie się na lewo do Gelmersee...

— Czy z Grimsel nie dostrzegą nas, gdybyśmy szli tamtędy?

— Z Grimsel? Czy dostrzegą? Jakże to można zobaczyć takiego, co idzie górami? Nie, nie dostrzegą z Grimsel...

Generał zamyślił się i, nie spojrzawszy już na Fahnera, odszedł do swej kwatery. Niebawem kazał sobie podać konia.

Wówczas już oddziały wojska tłoczyły się w opłotkach, zdążając na południe od Gutannen w górę Aaru. Dwa bataliony szły w nieładzie z nad

rzeki ku drodze wprost przez łąkę, wbijając w ziemię wyhodowane trawy i maleńkie działki żyta, które dnia 14 sierpnia, stało jeszcze niedojrzałe. Na łąkach i na podcieniu górskim leżał mrok głęboki, ale już granatowy. Wyżej był rozkoszny, ciemny błękit, przez który przebijały się odpryski promienie i padały na ukos od szczytów niezmiernych krzesanie Nāgelisgrätli aż do północnego końca szerokiej doliny. Te drżące, półjasne smugi podobne były do strun jakiejś niezmiernej liry. Same czuby turni stały już w ogniu słonecznym. Łasy u podnóża gór, ledwie w mroku widzialne, siklawy, jak białe nitki snujące się między skałami, dziwne barwy i szerokie powietrze zimnego poranka napełniały serca żołnierzy, oficerów i woda szczytną fantazją. Kompanie szły, jak jeden człowiek, mocno, równo, sprężysto, zostawiając poza sobą spustoszoną wioseczkę o szarych dachach domostw i obór. Tuż za wsią kolumna weszła w las świerkowy. Z ciemnej jego gęstwiny powiał na idących chłód ostro przeciągający. Słychać też było huk donośny. Wkrótce koń Gudina zatrzymał się na wzniesieniu, jak wysoki stopień leżącym w dolinie. Widać było stamtąd piany wodospadu, fruujące między kosmatymi i czarnymi jak noc ścianami świerków. Młody generał tknął konia ostrogą i klusem dojechał do brzegu rzeki. Stał nawprost głównego koryta żółtawo-burych wód Aaru, które tam zlatują nagle do jamy na siedmdziesiąt metrów głębokiej. Z boku do tejsamej przepaści skacze z

taką furją, jakby był strzałem wysadzony z ziemi, Aerlenbach, potok srebrzysty, ten, co „wody błękitnemi spada”, wylęgły w lodach i jeszcze nie zbrudzony mułem ziemi. Z rykiem chwytają się za bary te dwie rzeki w głębinie, zmagają tam, trzaskając łbami o granit. Z czeluści, która wiekuiście wzdycha, wypadają chmurki wodnego pyłu, ogromne banie mgły ledwie widocznej, kołyszą się i błędzą to tam, to sam, rozsiewając naokół deszcz drobny i spływając po głazach długimi smugami, jak łzy cienkimi. Niżej w kipiących pianach siepią się potworne kłęby, zupełnie jak nagie ciała, zdychające w kurczach boleści. Gudin mocno zdarł konia i patrzył w dziwną przepaść. Na widok boju tych pian wspaniałych myśli jego porzuciły rzeczywistość. Wydało mu się przez chwilę, że widzi tam, pośród pyłu wody znenawidzoną aż do śmierci, chudą, bladą twarz, z długimi kudłami nieporządnej baby i oczami wilka, kościstą twarz Bonapartego, ze sztychu Huges'a, czy portretu Guerin'a. Znowu poczuł w sobie ciosy zazdrości i zachwytu, nienawiści i uwielbienia. Sława czynów chudego Korsykanina nie dawała mu chwili spokoju. Każdy biuletyn wojny włoskiej zatruwał mu pokarm i napój, niby kropla jadu. Kiedy Napoleon odpłynął do Egiptu, Gudin w skrytości ducha i ze drżeniem serca oczekiwał wieści, że zginął tam, że zarżnięty został ten tygrys, który poczynał już kłami i pazurami szarpać świat strupieszają. Ale oto w początkach sierpnia tego, 1799 roku, doszła Gudina wia-

domość, że Korsykanin ma wracać. I zaraz ta pogłoska przeleciała nad armiami, jak wrzask wojennej trąby...

Siwy, piękny koń Gudina, połączony ostrogą, w podskokach wybiegł z lasu na obszerną łąkę, nisko rozłożoną u stóp łańcuchów górskich i zupełnie podobną do placu, na którym stoi Gutannen. Tutaj kończyła się szeroka dolina. W górę szedł stamtąd ciasny wąwóz między stromemi skałami, a na końcu jego widać było poprzeczne górskie siodło: Grimsel.

Bataliony wojska stały już uszykowane na tej łące i nieruchomo spoglądały na wylot szczeliny Hasli i na otaczające turnie. Z prawej strony widać było drożynę prowadzącą na przełęcz. Była to perć, wybrukowana płaskimi głazami i dobrze ubita. Zbudowano ją w wieku XV, czasu krwawych walk między berneńczykami a chłopstwem z doliny Rodanu, jakie wynikały zazwyczaj z powodu „600 owiec i 20 koni”. Drożyna odrazu szła w górę, wysoko nad Aarem, który wypadał z pomiędzy skał na łąkę, jak zziajane i śmiertelnie poranione zwierzę.

Fahner, podążający szybko za generałem wskazywał ciągle ręką na lewo, gdzie ze szczytu góry zlatywał na samo dno doliny wodospad Gelmerbach. Kapitan Le Gras zbliżył się do Gudina i szpada wskazał mu kierunek pochodu, mówiąc:

— Zaszedłszy poza łańcuch tych szczytów znikniemy dla Austriaków na całą dobę. Ujrzą nas

wtedy tylko, gdy wyjdziemy z za ostatniego, który tam oto widać...

Twarz jego wyrażała niepokój. Bał się by generał na złość nie uparł się iść doliną Hasli.

— Dwie kompanie pierwszego batalionu — rzekł Gudin wyniośle — udadzą się natychmiast ścieżką w górę Hasli. Ukażą się demonstracyjnie nieprzyjacielowi, stoczą z nim utarczkę, jeżeli to będzie możebne...

W oczach kapitana błysnęła radość i głęboka wdzięczność. Młody dowódca wykonywał jego plan i rozwijał go trafnie.

— W pobliżu jezior jest na Aarze zerwany mostek kamienny... — szepnął jeszcze Le Gras nieśmiało.

— Właśnie... Dwie kompanie pierwszego batalionu zajmą się ostentacyjnie naprawianiem mostku... — rzekł znowu Gudin z taką powagą, jak gdyby bardzo dawno myślał o zerwanym moście, którego reperacja, może służyć za wyborny sposób bałamucenia Austryjaków i maskowania czynu istotnego. Po chwili obwieścił zgromadzonym oficerom, że sam uda się w towarzystwie dwóch kompanii doliną Aaru. Wypocząwszy, kolumna ma bez wszelkiego pośpiechu wstępować na górę obok Gelmerbachu ścieżkami, które wskaże chłop — przewodnik. Nad jeziorem Gelmersee całe wojsko ma się zatrzymać i czekać.

— Będziecie tam wypoczywali — mówił — do-

póki nie przybędę. Mam nadzieję, że zdołam powrócić, zanim wszyscy dojdziecie do owego jeziora.

Dwie kompanie uszykowały się i dwójkami zaczęły wstępować na ścieżkę. Gudin ze swymi adjutantami wjechał między tłum żołnierzy i posuwał się zwolna. Wkrótce półbatalion znikł w lesie świerkowym, w ostatnim lesie, za którym dalej gdzieniegdzie czepiały się tylko karłowate olszyny i kosodrzewina. Między szczytami Nägeli-Grätli strzelały już promienie słońca na przeciwległe wyżyny. Wielkie, świetliste place blasku skoczyły na czarne pole granitów, na dzikie krzesanice, gdzie już tylko gdzieniegdzie żółty mech połyskuje. Zwolna to światło przybliżało się do rzeki, objęło las świerkowy, wynalazło w nim i załłiło wszystkie krople rosy, wypędziło barwy granatowe i rozpostarło inne, pełne odmian i cieniów. Za lasem ukazała się w słońcu szybko maszerująca kolumna, podobna z oddalenia do wielkiej piły, która się wrzyna w bok góry. Pióra na kapeluszu Gudina połyskiwały i każdy ruch jego głowy widać było doskonale. Le Gras, stojąc przed frontem swej kompanii tłumaczył żołnierzom, w jaki sposób wykonany będzie atak na Niemców. Starzy grenadierowie, którzy z niejednego już pieca chleb jedli, pojęli go natychmiast i dopytywali się o drobne szczegóły. Młodzi zasięgali informacji od wyjadaczy i z osłupieniem szukali oczyma swej drogi na gładkich ścianach górskiego łańcucha. Byli to ludzie z rozmaitych stron Francji: z pod Pierenejów i z

pod Ardenów, Bretończycy i Normandowie, górale i chłopci z równin.

— A wy tam pojmujecie o co rzecz idzie? — zapytał Le Gras dwóch żołnierzy, nadzwyczaj ciekawie przysłuchujących się temu, co mówił.

— „O u i , j e c o m p r e n d s . . . o u i ! ” — rzekł jeden z nich, wskazując ręką na góry. „L' é n n e m i l à , — n o u s l à ! A p r è s n o u s l' é n n e m i . . . ” z tyłu za łeb i kolanem go ścierwę! „V o u s c o m p r e n e z ? ” Cały szereg prędkich, gwałtownych i plastycznych ruchów ilustrował doskonale odpowiedź starego żołnierza i zrozumiany został wybornie przez wszystkich.

— To to, tak właśnie! — mówił kapitan ze śmiechem.

— Ty rozumiesz, co gadał?... — zwrócił się ten stary żołnierz do młodszego kolegi, z którym przed chwilą rozmawiał.

— Coś miarkuję, ale jak to ma być, tego nie mogę...

— Tak widzisz, będzie. Twoje szwabki siedzą na tamtej górze, co stoi napoprzek — prawda?

— No jaścić prawda.

— Jakby my do nich szli dołem, toby nas przecie kamieniami zafrygały. Tak gadał Legra — i sprawiedliwie. Tak widzisz bracie, ten stary świcer z Gułanowa, co go Legra wczoraj zajął, ma pokazać drogę niby tędy, miarkujesz?

— A i gdzież tu tędy przejdzie, ogłupieliście? —

zaperzył się młody. — To ta i wy rozumiecie, co gadają! Jakże by to wlaźł, na takie mury?

— To już nie moja głowa. Mówią, że wlezie. Jakiś stąd patrzył, to się widziało, że „żenerał” i te dwie kompanie, co z nim poszły, że, mówię, idą po gładkiej ścianie, jak mucha po szybie, a ona tam przecie jest dróżka — i niezła. Wiesz te-
ra?

— Oj, głupie, głupie ludzie, żeby w takich przecie górach siedzieć! słyszane rzeczy...

— Czekaj, bracie, jak cię jeszcze szwab wytnie w zęby kulką na takim koniuszeczku góry, to se dopiero namachasz kozłów, zanim się roztrzepiesz po kamieniach. Ale co tam!... „R i r a b i e n, q u i r i r a l e d e r n i e r . . .” Wiesz co znaczy taka gadka?

— Ij — co mi ta przyjdzie z waszej gadki? Ckliwo mi oto patrzeć na takie...

— Weźże i chlipnij tego czerwonego wińska. Za gorzałkę ono nie obstoi, to jest prawda, ale zawsze człowieka coniebądź otrzeźwi...

Obydwaj pociągnęli z manierki i zakąsili skibką uschniętego chleba. Starszy żołnierz należał do kategorii wytrawnych lisów. Widział świata nie-mało i w niejednej wojnie łba nadstawiał. Z Berlina, gdzie się znalazł po ukończeniu pierwszej z tych wojen w jego życiu, poszedł z kilkoma kamratami do Francji, zasłyszawszy, że się tam tego biją i złudzony obietnicą, że tam więcej kamratów znajdzie. Towarzysze rozproszyli się po drodze, on

zaś sam dowłókł się do granic francuskich i, poszukując swoich, zapisywał się do rozmaitych pułków z kolei. Tymczasem lata upływały na szukaniu daremnie. Języka się poduczył, nabrał przywiązania do kapitana Le Gras, do kapralów i sierżantów swego batalionu, którzy mu na biwakach różne różności opowiadali, — został. Ostatnimi czasy, po rozpoczęciu wojny z Austrią, zetknął się ze swojakiem. Był nim jeniec, młody piechur, wzięty w kupie innych Austriaków w polycze pod Zurichem. Stary wiarus dołożył wszelkich starań, ażeby jeńca namówić do wstąpienia w szeregi francuskie, a władze do przyjęcia go na żołnierza. Gdy mu się to udało, rozpostarł nad przybłądą isticie braterską opiekę. Uczył go języka, choć sam ledwo piąte przez dziesiąte mówił i rozumiał, czyścił mu karabin, łątał uniform, zaplał włosy, wyręczał we wszystkim i oddawał mu najlepszą część jadła i napitku. Za to wszystko gadał do niego... I młody polubił wiarusa taką mocą przywiązania, jaka tylko na wojnie wyrasta. W ciągu sześciu miesięcy zrośli się ze sobą, jak dwie połowy tej samej kości żyjącego ciała.

Ledwo żołnierze spożyli po kromce chleba, już kapitanowie wywoływali przed kompaniami rozkaz wstępowania na górę. Rozmowy nagłe ucichły i kolumna wołno ruszyła z miejsca, jak monstrualny wąż, migając łuską bagnatów i ładownic. Przewodnik, który postępował na czelę, wprowadził idący za nim pierwszy batalion na ścieżkę obok

wodospadu Gelmerbach. Żołnierze mieli ciągle przed oczyma białą pręgę wody, zlatującą na dolinę z wysokości stu metrów z górą. Szyk wojskowy rozbił się wkrótce, gdy każdy grenadier musiał własnym przemyśłem odszukiwać sposób wdzierania się na górę. Ścieżka ginęła wśród złomów strąconych kamieni i drzew, a tylko kiedy niekiedy spostrzedz ją było można w postaci głębokich, ślizkich i prostopadle zbiegających wyłobień w glinie. Na tem zboczu łańcucha wciąż jeszcze leżały cienie. Kroplista rosa jak śnieg biała się na świerkach i trawach. Mokre kosówki wyciągały z gęstwiny swe długie gałęzie i zagrażały drogę żołnierzom. Ludzie szli rzeżko, przejęci ciekawością, co też spostrzegą za krawędzią, z której zlatywał wodospad; — z bezwiedną uciechą wciągałi w płuca powietrze czyste i rzadkie i, jak ogromna kompania wesołych turystów, skracali sobie drogę, przecinając ścieżkę zygzakową. Cały las u podnóża rozciągnięty wrzał od gwaru, który, wzmagając się ciągle, zagłuszył wkrótce jęk białej siklawy. Starsi i młodszy oficerowie nie powstrzymywali tego nieładu, sami uniesieni rozkoszą wdzierania się na stromą pochyłość o tak cudownym poranku. Stanąwszy na wierzchołku pierwszej skały, postępujący na czele procesji ze zdumieniem ujrzeni przed sobą jezioro, staw, nie większy od Czarnego pod Kościelcem w Tatrach. Za tem jeziorem stała rozłwarta dolina Diechterthal, pusta, raptownie dźwigająca się do góry, po-

zbawiona już drzew, a pełna smutnych wałów, osypisk i brył kamiennych, wśród których kipiał dziki potok. Z prawej i lewej strony śmigwały stamtąd w górę brunatne, szare i czarne turnie o powierzchniach stromych i gładkich, wypolerowanych przez wody. Tu i owdzie widać było na nich rysy, żłoby i faliste linie, tajemnicze hieroglify lodowców, które stamtąd przed wiekami odeszły. Nizko na zrębach tych skał wisały kępy kosodrzewiny, podobne z oddalenia do mchu. Wyżej kołysały się w przestworze pogięte jej gałązki, nie grubsze dla oka od ździebeł trawy.

W pewnym miejscu, wychylając się daleko z pomiędzy dwóch krzesanic, wisała nad otchłanią krawędź lodowca. Ten gżems, niezmiernie równo wykrajany i gładki, stał w płomieniach słońca, i oślepiająco czysta farba lodu ciskała się w oczy nadchodzącego wojska, raziła je i zdawała się być podobną do niezmiernego miecza, który jakaś ręka podniesiony trzyma.

Kiedy całe wojsko odbywało ten pierwszy etap swej drogi, Gudin szybkim marszem dobiegł końca Hasli i znalazł się przy zburzonym moście na Aarze. Nie tracąc ani chwili czasu, skoczył na koniu w rzekę i przebył ją szczęśliwie. Kiedy jednak siwy arab wyskoczył na brzeg, koło uszu generała świsnęły kule, a z za wału, zakrywającego dwa jeziora grimselskie, wysunął się oddział żołnierzy w białych mundurach. Dwie kompanie Gudina przebyły rzekę i nagłym marszem rzuciły się

na Austrjaków. Bermyce jeszcze raz dały ognia i cofnęły się w stronę gospody, przy jeziorach stojącej. Gudin nie poszedł za nimi. Odjechał jeszcze dalej na bok, a w górę rzeki, tam się zatrzymał ze swymi oficerami i począł rozpatrywać miejscowość. Wówczas dopiero zrozumiał, co chciał uczynić, zamyślając zdobywać tę przełęcz. Dolina Hasli tam się kończyła. Zamykała ją poprzeczna góra, na tysiąc stóp wzniesiona ponad jeziorami, a łącząca dwa kolosalne łańcuchy górskie. Grobla ta miała kształt siodła, a boki jej spadające raptownie, tworzyły amfiteatr, u stóp którego leżały dwa ciemnozielone jeziora. Była to granitowa pustynia, jama z kamieni, miejsce, którego widok przejmował dreszczem, jak myśl o śmierci. Skały tam były nagie, ślizkie i tylko u dołu powleczone żółtawo rudymi mchami. Wyżej bieleły się tu i ówdzie szare plamy. Były to miejsca puste po tafalach, które się urwały. Naokół wyszczerzał swe zęby szereg Nāgelisgrātli i piramidy Finsteraarhornu. Od stóp jego wydzierał się z lodów bury Aar. Gudina począł zaraz nękać dziwny hałas tej rzeki. Wody jej monotonnie jęczały, długą, wciąż powracającą gamą okrutnego szumu zanosiły jakąś skargę, zawodziły jakąś pieśń, złożoną z potwornych melodji. Zdawało się, że z głębi tych zimnych pieczar głosi epos natura — o przedwiecznych pracach kropel, o wiekuistym zwycięstwie wód i umieraniu kamienia, o wielkich pochodach

lodu, o nacisku, który cierpią skały i o ciepłe; ro-
dzajem walki...

Kupa żołnierzy austriackich, odepchnięta do schroniska, dała widocznie znać o przybyciu Francuzów, bo szczyt przejścia Grimsel ożył niejako. Na starej drodze ukazywały się tłumnie białe figurki z wielkimi czarnymi łbami, nie większe od koników polnych, i zajmowały sprawnie każde załamanie się perci, idącej po stromem zboczu nieregularnymi skrętami i zębami. Gudin wysłał swoje dwie kompanie pod samo schronisko i polecił im przez dzień cały ukazywać się, cofać, odbudowywać most, wspinać na skały i wogóle sprawować, jak awangarda napastniczej kolumny. Sam przeleciał na koniu galopem cały ów wążki zakręt, dotarł do podnóża góry, wszystkiemu się przyrzwał i co koń wyskoczy wrócił do brodu. Przebył rzekę — i w towarzystwie tylko dwóch subalternów, oraz luzaka, dozorującego konie, spieszenie wrócił na miejsce, skąd całe wojsko poczęło iść na górę. Czarne ślady na rosie, zdeptane trawy i ułamane krzewy wskazywały mu kierunek pochodu. Generał i dwaj oficerowie zsiadli z koni, zostawili je żołnierzowi, a sami odrazu puścili się w drogę. Gudin biegł pod górę jak jeleń w swych węgierskich butach, za których ugalonowane, krótkie cholewy nalało mu się pełno wody podczas przebywania rzeki. Z umęczenia i niepokoju wewnętrznego niebawem tchu mu zabrakło, więc odwiązał z bioder szarfę, z szyi chustkę, rozpiął frak, ka-

mizelkę, koszulę i tak z odkrytą piersią sadził na przelaj. Ośmnaście kompanii grenadjerskich wypoczywało, siedząc półkolem na brzegu jeziora Gelmer, kiedy na zrębie skały zjawił się młody generał, zmordowany tak bardzo, że z każdego jego włosa pot kapał.

— Idziemy dalej w tę dolinę? — zagadnął odrazu przewodnika, ukazując na Diechterthal.

— O, nie! — rzekł Fahner. Ta dolina nie zaprowadziłaby nas w stronę Grimsel. My pójdziemy wprost na szczyty.

— Którędy? — spytali oficerowie, zdumieni tem oświadczeniem, gdyż naokół widać było tylko ściany pionowe.

— Pójdziemy poza tą skałą. Innej drogi niema — rzekł Szwajcar obojętnie.

Zaraz też ujął swą siekierę na długim toporzysku z obuchem okrągłym, niby jabłko, i szerokimi krokami poszedł brzegiem jeziora. Kompanie uszykowały się i okrążyły jeziora. Ślad drogi włókł się do podnóża wydatnej skały, która czarnemi tafłami schodziła wprost do wód jeziora. Wymięwszy tę skałę wojsko zobaczyło nareszcie swoją drogę. Dreszcz strachu i szept stłumiony przeleciał wskroś tłumy. W tem miejscu masa granitu, tworząca łańcuch cały, rozpekła się i jakby rozsunała w dwie strony. Między chropowatemi powierzchniami tych ścian, wznosił się do góry wążki przesmyk, niby komin, od samego jeziora aż do białych stogów lodowych. Z górnego krańca

owego przejścia wywalał się na dół lodowiec, zczerniały po wierzchu, a jasnozielony w swych pęknięciach i pieczarach. Ta szczelina od jeziora Gelmer do szczytu Thierälplistock, wspinająca się na przestrzeni 200 metrów, wydała się żołnierzom Gudina podobną do wielkiej trumny, wystanej prześcieradłem śmiertelnem, której wieko, na ich przyjęcie odwalone, zatrząśnie się, skoro tylko tam wstąpią. Słońce, wzbijając się coraz wyżej, sięgało już promieniami i do tej czeluści, ale oświetlony był dopiero jej wylot szczytowy. W tych punktach ogrzanych rodziły się seledynowe obłoczki, stały na miejscu, biorąc na się przeróżne postacie, a potem wolno pełżyły w górę kominem ku jasnemu szafirowi nieba. Niżej lód szarzał w półzmroku, a z trupiej jego masy tchnął na ludzi strach wielkooki, strach, co łechce pod deką piersiową i ścisną pięty żelaznymi kleszczami.

Przewodnik brnął zwolna po kostki w piasku rozmytym, miękkim i pociętym przez mnóstwo strumyków.

— Trzecia kompania! — zawołał Le Gras i ze szpadą w ręce poprowadził swoich ludzi.

— Naprzód — komenderowali dowódcy innych oddziałów. Kolumna weisnęła się między skały, przebyła mokry wysięk lodowca i wstąpiła na pochyłość, zasnaną śniegiem lepkiem i miękkim. Było tam tak szeroko, że kilkunastu piechurów rzędem iść mogło. Już przodującym szeregom nogi dobrze w śniegu więzły, kiedy zaś bez mała dwa tysiące

ludzi przemiesiło go obcasami, to kompania, idąca w tyle, musiała już brnąć przez tę zaspę, zarabiając się powyżej kolan. Mimo to pod nieustanną komendą i zachętą oficerską szeregi szły tęgim krokiem. Nikt nie patrzył ani w górę, ani na dół. Każdy żołnierz miał wzrok skierowany na towarzysza, idącego przed nim, i widział tylko harcopf, okręcony powrózkiem, zgięte plecy, na których nisko, pod łopatkami, leżał płaski tornister, i poły fraka, tak długie, że się niemal wlokły po śniegu. Chrząst pod nogami bryłek lodowatych, szelest marszu całego wojska, szcęk broni — zamknięte między dwiema ścianami i ciągle się o nie tłukące — podsycały energię ruchów. Wszyscy zapomnieli o tem, że idą po raptownie uciętem zboczcu, i każdy całego siebie kładł w chód towarzyski, w konieczność dotrzymania kroku. Zwarta masa tych ludzi zgiętych podawała się naprzód stale i równo, jak jedno ruchome ciało.

Wdarłszy się o jakie trzysta metrów wyżej, spostrzeżono, że śnieg twardnieje, staje się suchym, sypkim i że czuć pod nim warstwę nieruchomą. I samo przejście zwężało się coraz bardziej. W pewnem miejscu była tam jakby platforma pochyła, na której mogła zgromadzić się i zmieścić cała kolumna. Pozwolono nieopatrznie żołnierzom przystanąć i spojrzeć poza siebie. Ujrzawszy tę spadzistość gwałtowną bez żadnego czarnego punktu, na którym oko mogłoby się wesprzeć, tę białą, gładką, ślizką równinę, a u podnóża jej czarną szy-

bę wody, — żołnierze poczęli siadać na śniegu, czepiać rozpaczliwie rękami za poły frakowe towarzyszów, odwracać się plecami i zamykać oczy. Tu i ówdzie słyhać było krzyk bezmyślny, a w pewnym szeregu żołnierzy blady jak trup płakał głośno, trzesąc się na całym ciele i sięgając rękoma do tej właśnie przepaści. Ażeby ratować się z przykrej sytuacji, oficerowie jęli przynaglać strwożonych do wstępowania wyżej, ale ich zamiary powstrzymał przewodnik.

— Tu musimy chwilę odpocząć, — wołał ze swego wyższego miejsca — musimy zebrać siły; bo teraz wstępujemy na lody.

Skoro wyraz *lody* obił się o uszy żołnierzy, poczęli zbijać się w kupę, tulić do skały i pchać jedni drugich, jak zgłupiałe owce. Grenadier płaczący łkał coraz głośniej, powtarzając nieustannie jakąś jedną sylabę i wydzierając się z rąk kolegów. W kupie starych weteranów, którzy już niezliczone razy śmierć napastowali, którzy dobrze wiedzieli, jaka ona jest i jak zabija, — słyhać było teraz pomruk zuchwały.

— Ten chłop jest zdrajcą! — mówili niby to jeden do drugiego, ale tak, żeby ich starsi oficerowie słyszeli. — To jest wysłaniec pludrów! Tędy nikt nie przejdzie! Wolimy zginąć w bitwie z kabinem w garści, wolimy iść do bitwy! Nie chodźmy tędy! Nie pójdziemy.

Labruyère, Le Gras i inni oficerowie patrzyli z podełba na tych starych. Czuli oni, że kolumna

tak zniechęcona nie przejdzie po białej smudze, zarzuconej nad ich głowami wprost, widziało się, na chmury. Gudin ze zwieszoną głową, nieruchomy siedział na występie skały i obserwował swoje roztrzepane buty. Nagle, gdy gwar w tłumie zamieniał się na hałaśliwe pogroźki skierowane do przewodnika, generał wstał powoli ze swego miejsca. Twarz jego była prawie granatowa, okryta krwistymi plamami, po bokach jej wisiały pasma przepoconych włosów. Oczy jego patrzyły z dzikim spokojem z pod brwi zsuniętych.

— Żołnierze! Żołnierze! — zawołał głosem niskim, a tak dziwnie donośnym, że ludzie umilkli, jak jeden. Zdawało im się, że ten szczupły oficer nagle się w oczach ich rozrósł. Złękli się jego twarzy i głosu. Gudin nie mógł wymówić ani słowa więcej. Wzniósł tylko szpadę ku górze potężnym gestem wodza.

Dziwna podniecia przeszła wojsko. Żołnierze w ponurem milczeniu zwrócili się twarzami do lodowca i, gdy przewodnik wstępować nań zaczął, ruszyli za śladem. Lód tam leżał niezmiernie grubą warstwą, wygięty ku skałom, jak rynna. W pewnym miejscu spadzistość była już niemożliwą do przebycia. Wówczas przewodnik zaczął swą siekierą rąbać w lodzie otwory. Wybijał po trzy w rzędzie dla trzech żołnierzy. Bryły odcinał tak zgrabnie, że mógł je podawać do rąk żołnierzom, a ci rzucali je w spargę między skałą i pokładem lodu, aby zlatując, nie zraniły kogo w ostatnich

szeregach. Fahner stawał obiema nogami w „stopai”, a wtedy prawą nogą wstępował w dopiero co opuszczoną przez niego żołnierz, tuż za nim idący.

Godziny, długie jak stulecia, minęły zanim cała kolumna na lód wpełzła. Gdy się to stało, w tym potrójnym rzędzie zapanowało śmiertelne milczenie. Każdy grenadier miał ręce wsparte na karabinie, którego kolbę umieszczał obok nogi towarzysza, idącego przed nim. Każdy miał nos przy pięcie swego poprzednika. Wszyscy obserwowali, jak to śmiałym żołnierzom, a nawet buńczucznym oficerom drżą łydki, ile każdy ma łań na kamaszach i przyszypeków na trzewiku. Każdemu ciążył niewielki tornister i przejmował bolesną obawę, niby wielki tłumok, który może człowieka w tył przegiąć i zwalić z góry. Nikt nie wiedział, gdzie jest generał Gudin. Wodzem i panem wyprawy stał się chłop niezgrabny. Jego wielka siekiera dźwięczała w lodzie, jak gdyby cięła sztuki żelaza. Schyłeni żołnierze słyszeli w głębinach lodu przedziwne odgłosy jej uderzeń, stukające to tu, to tam, to w górze, to nisko. Niekiedy wycięta bryła lodu odlatywała z pod siekiery i piorunem sunęła po zboczcu lodowca, wydając przeraźliwy szelest — csuuu... Wtedy wydawało się wszystkim, że lód wysoko trzaska, i że cała jego masa leci. Prawie wszyscy rachowali stopnie, ale nikt nie mógł sobie zdać sprawy, jak długo już idą. Słońce wychyliło się z za czarnego szczytu i zalało przejście po-

topem gorąca. Zaraz też z góry sączyć się poczęły maleńkie kaskady, zalewając stopaje, i jak złe pijawki szczypały nogi przychodniów zimnem śmiertelnem. Uczucie kostnienia w stopach jeszcze bardziej potęgowało ból pod kolanami.

— Co czynić, jeśli kto ma mdłości? — nagle zapytano z szeregów. Okrzyk ten, powtórzony przez kilku kapralów, sierżantów i oficerów doszedł do uszu przewodnika.

— Kogo nudzi, niechaj się zaraz kładzie pierściami na lodzie i niech wzięwa zimno.

Zapytania umilkły, ale wnet dały się słyszeć jęki przekleństwa i gwar niespokojny.

— Nie oglądać się, to nie będzie mdłości! — zawołał Fahner głosem ochryplym, rąbiąc bez przerwy z niesłabnącą energią. Zbliżał się już do skały, leżącej na środku tego przejścia. Był to głaz spiczasty. Czarna masa kamienna ściągała promienie słoneczne i odparzyła dokoła siebie głęboką kotlinę. Rozkruszone i na miał rozmyte części tej bryły dosyć grubą warstwą błota ściekały do jej stóp na dół po czystym lodzie, jak ropa żywej rany. Fahner, dosięgnąwszy tego miejsca, musiał zgarnąć błoto, usuwające się pod nogą i najprzód ubijać grunt swymi trepami, zanim tam stanął odważnie. Ale w tem oparzelisku, pochylonem tak bardzo, strach było stawać na zmurszałych kamieniach, poszedł tedy na prawo, oparł się korpusem na granicie, a nogi wpuścił w szparę między macierzystą skałą

i pokładem lodu. Każdy żołnierz musiał wykonać to samo. Zanurzali się jeden po drugim w szczelinę i, nie dosięgając wcale jej dna nogami, łokciem prawej ręki na ścianie, a ramieniem lewej na lodzie oparci, posuwali się żabimi ruchami daleko za ową przeszkodę, na środku drogi sterczącą. Gdy pierwsi w szeregu wydzwignęli się z jamy na powierzchnię lodowca, — weszli znowu w stopaje.

Rozpacz szarpała ich serca. Wzniósłszy oczy do góry znowu spostrzegli pasmo drogi, tuż nad karnikiem wiszące, a nie odwracając głowy, głębią mózgu widzieli obraz bezdennej przepaści, rozwartej pod piętami. Wówczas była to już sroga bitwa z górą. Zdawało się, że wysokość niema końca, że z przebytych garbów, które się przedstawiały jako szczyty, jako kres drogi — wyrastają w oczach nowe kikuty i kłęby tej hydry straszliwej. Gdy nerwy dygotały w znużonych ciałach, gdy zdawało się, że człowieka spali ogniem własna jego skóra, należało cierpieć bez ruchu. Z dołu słychać było coraz głośniejsze westchnienia i jęki. Co chwila wołano, że ktoś omdlewa i cucono go kluciem bagnetu i wrzaskiem. Wśród popłochu i obłąkania, które od człowieka do człowieka przechodziły i trzęsły każdego w żelaznych swoich pazurach, nagle rozległ się dziki, jak te góry, śpiew Fahnera.

Alli Manne standet y!
Die vo'r Enme, die vo'r Aare
Stark und frei i Not und G'fare
Alli Manne standet y!

Ta pieśń jodlera mocna, swobodna i odważna, miała w sobie coś z dźwięków siklawy spadającej w zlodowaciałe kłęby śniegu, miała coś z dalekiego echa i z przeraźliwych krzyków orła, które się rozlegają między skałami. Skargi żołnierzy ucichły. Chłop przestał rąbać, odwrócił się, wsparł znużone ręce na toporzysku, rozprostował swe wielkie ramiona i znowu zaśpiewał:

Mir wei freyi Szwyzer sy!
Rüst üs d's Land zum Schutz a d'Grenze
Lue wie d'Auge all'ne glänze
Mir wei frey i Szwyzer sy!

Po chwili zaśpiewał znowu:

Uese Mutz isch gärn der by
Stellet ne a d'Spitz i füre
Sapperment er stieret düre...
Uese Mutz isch gärn der by...

Skończywszy piosenkę, wyrzucił z piersi przeraźliwy krzyk, podobny do piania koguta i znowu wściekle rąbać zaczął. Jeszcze kilkadziesiąt stopni — i przed oczyma pierwszego szeregu kolumny ukazało się pole śnieżne, bardzo pochyłe, ale już nie strome. Komin się urwał. Oficerowie zakazali krzyków, to też wojsko w milczeniu oddawało się radości. Żołnierze wychodzili na lodowce, ociekając wodą, unurzani w błocie, spoceni i ogorzali od wiatru. Gudina ledwo można było poznać. Jego frak był poszarpany, kapelusz zgnieciony, jak stary

pantofel, ręce pokrwawione, piękne włosy, jak wygrabek siana. Gdy wszyscy dostali się na pochyłość, próbowano sformować bataliony, aby iść pod szczyt Thierälplisstock, ale trudno było utrzymać porządek. Naokół roztaczał się widok tak dziwny, że najenergiczniejszym oficerom opadły ręce i w raz y zamarli na ustach. Wszyscy próżno szukali oczyma — ziemi. Jak daleko wzrok sięgał leżały kształty z państwa snu, czy maligny. Dusze tych ludzi z równin, z zielonych płaszczysz struchlały na widok oceanu przedziwnych gromad lodu i granitu. Odkryły się przed nimi tajemnicze pustynie Alp berneńskich, — „alt fry Weisland...”

Po drugiej stronie Hasli, która u stóp ich leżała, piętrzyły się góry: Schreckhorn, Wetterhorn, Eiger, Mönch, a dalej strzelały w górę dwa białe stogi Jungfrau, łącząc się z niezmiernymi polami Wielkiego Aletsch'u. Były tam jakieś cielska, grzejące się na słońcu, strzaskane gmachy, połączzone wieże, ogromne postacie, jak Mönch, albo tak dziwne, tak zagadkowe i przykuwające do siebie wyobraźnię człowieka, jak Finsteraarhorn. Stały tam jakieś zjawienia z tamtego świata, zarysy do niczego na ziemi nie podobne, jakieś strachy i poczwary, jakieś wizje, w obłąkaniu poczęte. Trzy czyste barwy — niebieska, czarna i biała jedynie tam widzialne, rzucały się do oczu i napełniały dusze niepokojem. Zwracając oczy w dolinę Aaru, żołnierze widzieli jeszcze wioskę Gutannen, podobną do stadka kuropatw zbitych w kupkę na szarej miedzy. Aar, rzeka

kipiąca łańcuchem wodospadów, wydawała im się jak smużka twardego śniegu. Ruch wody zginął dla oczu, ryk jej daleko został w przepaści. Las, ostatni las za Gutannen, czerniał, jak kępa tarniny. Żołnierze z utęsknieniem spoglądali w stronę tego lasu, w ciemności wrażeń i przeczuć jedno pojmując, że to, co ich otacza, ten widok bezduszny, skostniały i obcy — to jakaś zła zapowiedź, to sprzymierzeńcy nieprzyjaciela. Zwolna poszli w górę i przebyli zakłęśły, łagodnie nachylony Aelpligletscher. Kiedy wyminęli okrągły grzebień tego lodowca na wysokości 3390 metrów, ukazały się im wschodnie łańcuchy alpejskie, a u stóp dolina Urseren. Schodząc niżej, znaleźli się na głównym placu lodowca Rodanu, w okolicy jego zwanej „im Sumpf”. To miejsce zamknięte było z jednej strony przez szczyt Schneestock, Rhonestock, Galenstock, — z drugiej przez Gelmerhörner. Powierzchnia lodowca ociekała wodą i, zdawało się, drżała w oparach. Małe strumyki z szumem po niej leciały do pęknięć, do wązkich, zielonych szczelin i z melodyjnym dzwonieniem spadały w przejścia ukryte. W miejscach zakłęśłych szklily się różnobarwnie płytkie jeziora. Po brzegach wystawały nad lodowcem kamienne szczyty, próchniejące i zasypane naokół wałami zwietrzałych kamyków. Od skały do skały biegły przez całą szerokość wygięte martwe fale, niby krzywe zagony. Cała ta masa usiłowała wylać się przez każdy wyłom między szczytami, a wszystko, widziało się, płynęła

niby szeroka i wzburzona rzeka z mnóstwem dopływów. Z największą jednak gwałtownością tłoczyła się w nizinę między Furką i spiczastymi szeregami skał Nægelisgrätli. Tam zwięzając się i jakby dusząc w ciasnym gardle, lody piętrzyły się spękane na tafle, wyszczerzały swe kły i waliły na dół martwym wodospadem.

Żołnierze byli głodni, jak stado wilków. W rzadkiem powietrzu, po pracy wdzierania się na wyżynę — byliby gryźli własne chodaki. Dowódca i oficerowie, sami zgłodnieli, naglili do marszu, żeby przed zapadnięciem nocy stanąć nad karkiem nieprzyjaciela. Gdy kolumna zbliżyła się do szczytów Nægelisgrätli, już dzień się kończył. Słońce dosyć jeszcze wysoko stało nad horyzontem, a na dolinę Rodanu, na zamknięty kąt jej pod Furką, który się wojsku ukazał, mrok spadł nagły, przez zmierzch niepoprzedzony, ciężki, jak wieko. Całe góry, wielkie białe góry stały przed tarczą słoneczną oblane purpurą. Przestrzenie pól śnieżnych widać było, jak na dłoni, a Finsteraarhorn, niby ogromna wrótnia, zamykająca drogę do tamtego kraju, rzucał cień tak długi, jak całe pasmo górskie. Fioletowe chmury wolno wypływały z dolin berneńskich i cicho szły po niebie różowiejącem.

Fahner skręcił z lodowca na prawo i szedł w górę pod kamienne szczyty. Wojsko podążyło za nim i stanęło na morenie, podobnej do fortecznego wału. Nie rosła tu ani jedna trawka ale było sucho. Gudin poszedł za przewodnikiem jeszcze wyżej, wdarł się

na skałę i dosięgnął przedziału między dwoma cyplami. Podtrzymywany przez mocne łąpy szwajcara wysunął głowę i spojrzął na drugą stronę. Zaraz cofnął się i, chichocząc jak dziecko, zaczął wołać na oficerów:

— Chodźcie tutaj! Żywo! Patrzcie!

Wszyscy zbliżyli się i spoglądali kolejno. Tuż za temi skałami, było przejście Grimsel. Leżało o jakie pięćdziesiąt metrów niżej, a o pół kilometra było oddalone. Łańcuch Nägelisgrätli urywał się o kilkadziesiąt kroków dalej i łagodna pochyłość od stóp ostatniej skały zbiegała ku środkowi tego przejścia, gdzie w zagłębieniu stało posępne i złowieszce jezioro — Todtensee.

Ostatnie już, niemal poziome promienie słońca ślizgały się na grzbietach jego fal, rozchwianych przez łagodne podmuchy wieczorne.

W przepaści czerniały dwa spojone ze sobą jeziora grimselskie, które Gudin widział rano z oddali. Płonęły tam ogniska i złotymi słupami odbijały się w czarnej wodzie. Całe urwiste zbocze góry od strony Hasli zajęte było przez oddziały wojsk austriackich. Po drugiej stronie Aaru płonęły również ogniska na wysokości drogi do Gutannen, rozpalone przez dwie kompanie francuskie, które sumiennie tropiły nieprzyjaciela i udawały wielki oddział. Na szczycie Grimsel przy jeziorze Todtensee była tylko mała gromadka żołnierzy i sporo starszyny.

Gudin, objąwszy wzrokiem całą tę pozycję, począł mówić szeptem:

— Co czynić? Czy napadamy?

Wszyscy mimowoli zwrócili spojrzenia na Labruyère i Le Gras'a, właściwych kierowników wyprawy.

— Co do mnie — rzekł Labruyère ze zwykłą oziębłością — to sądzę, że nie należy dziś napadać dla dwu powodów. Po pierwsze dlatego, że Austriacy znajdują się teraz na stronie Hasli, więc, napadając zepchniemy ich do jezior Grimsel. To nas zmusi do ścigania po nocy w tym kierunku, dokąd wcale iść nie mamy, bo my przecie musimy brać Urseren i zapewne pomagać Thurreau w Villais, wypierając Austriaków stąd, z górnego końca doliny Rodanu. Powtóre — nasz żołnierz upada, musi odpocząć i zjeść. Nic nie jedli...

— Tem lepiej! Pójdą ochotnie jeść do obozu plutrów. A my co im damy?

— Ośmielę się podzielać zdanie podpułkownika — szeptał siwiejący kapitan Mottet — jeszcze z tego względu, że wywołanie bitwy o tej porze zgubi nasze kompanie, zostawione w dolinie. Nie wiedząc, o co chodzi, napadnięci przez całą masę Austriaków, będą stawiali opór zacięty i zginą, albo cofając się przed pędzącym tłumem, spadną po nocy w przepaść. A przecie my ich możemy uratować! Rano...

— Ach, rano! Rano będzie przecież ta sama historia — rzucił się Gudin.

— Nie sędzę — rzekł Mottet. — Możemy ich zwa-
bić wszystkich na przełęcz, ukazując się w małej
liczbie, jakbyśmy przybywali od Furki, a gdy na
spotkanie nasze wystąpią, wtedy rzucimy się na
nich z całą siłą i popędzimy ich do Rodanu...

— Nie potrzebujesz, Mottet, zwabiać ich, bo
sami na szczyt idą... rzekł z uciechą Le Gras, który
ciągle stał przy wylomie i obserwował miejsce-
wość. Wszyscy skoczyli ku niemu i, popychając
jedni drugich, wyjrżeli na Grimsel.

Istotnie oddziały austriackie wstępowały na wy-
żynę i w porządku wzorowym zajmowały swe
miejsca w obozie. Rozniecano tam zaraz przygasłe
ogniska, wałąc w nie suchy mech kępami. Na dole,
u podnóża góry, nad jeziorami i nad Aarem zapala-
no ich jeszcze więcej. Został tam znacznie
zmocniony oddział dla obserwacji i jakaś jedna
kompania, rozstawiona w załamaniach ścieżki na
pochyłości góry. Reszta załogi w sile prawie 2000
ludzi powoli zgromadziła się dokoła Todtensee.
Białe mundury, jak śnieg, okryły zarówno płaskie
wybrzeże jeziora od strony Hasli, jak i zwaliska
kamienne, leżące na wyższym brzegu od Vallais
nad skałami Mayenwand.

W stronę Furki jeziorko wyciągało swą płytką
szyję, w zakończeniu której mieściły się szalasy
oficerskie, paliły ognie i gotowała wykwintniejsza
wieczerza. W tyle od strony zachodniej wznosiły
się śpiczaste wyżyny, ciskając na wodę trójkątne
swoych cieniów. Te cienie sunęły prędko, nakry-

wały kirem złote blaski i rozpostarły się nad całą przelęczą. Gudin milczał, przyznając tym sposobem słuszność swym doradcom. Żołnierze wydobywali z tornistrów kawałki chleba, wytrząsali z kieszeni okruchy, pomieszane z tytuniem, i posilali się, stojąc, w oczekiwaniu dalszych rozkazów. Nie wiedzieli wcale, że nieprzyjaciel blisko, aczkolwiek, patrząc na ruchy i słysząc narady oficerów, domyślili się, że kres pochodu jest niedaleki. Nogi zmarznięte, poobwijane w przemokłe onuczki, drętwiały im w zimnie, co z nastaniem mroku, jak dech przeszywający, ziało na nich z lodowca. Strumyczki i kałuże, rozlane na jego powierzchni, stały już były i zmarzły.

Szare mgły, jak widma, wynurzały się zewsząd i osiadały nad górami. W gęstym, a przecie widzialnym zmierzchu czepiały się wzroku tylko potrzaskane płyty, gnaty, żebra i szczyby lodów w wąskiej ich kaskadzie pod Furką. Stamtąd dolatywał czasami szum Rodanu.

— A więc nocujemy tutaj? — zapytał Gudin, budząc się z zadumy.

— Jeżeli rozkazuje, obywatelu... — rzekł ktoś z pomiędzy oficerów.

— Każcież żołnierstwu siadać i grzać się, jak kto potrafi, bo ognia palić nie możemy.

— O, ani mowy o tem! — rzekł Labruyère.

Wprowadzono kompanie na morenę i pozwolono im rozłożyć się obozem. Oświadczenie, że ognia zapalać nie można, powitano głuchem szemraniem.

Ludzie siedli zaraz, przewinęli jako tako nogi suchymi szmatami i zbili się w zwartą kupę. Przytulali się jedni do drugich, zsuwali coraz szczelniej i ciaśniej. Oficerowie po raz pierwszy znajdowali głęboką satysfakcję w nocowaniu pospoły z gminem żołnierskim. Nie raziły ich ani cuchnące oddechy, ani sąsiedztwo ciał chłopskich. Gudin tylko pozostał na swoim miejscu, tuż przy szczelinie obserwacyjnej. Dreszcze zimna wstrząsały jego ciałem, więc szybko chodził na maleńkiej przestrzeni, co chwila urażając swe poobcierane, zranione i bose nogi o śpiczaste kamyki i piachy skalne. Gdy wymijał szczelinę, rzucał mu się w oczy blask ognia, i wtedy rwała się w nim namiętna żądza tych płomieni, tęsknota do nich tak wielka, że wyciskała bolesne łzy z pod powiek. Rozpierzchłe myśli, plany ataku, paroksyzmy uradowania na każde wspomnienie, że bitwę wygra, zajadłe uczucia nienawiści do Le Grasa i Labruyèra — wszystko to latało mu przez głowę i popychało do nerwowego spaceru.

W pewnej chwili zapytał kogoś w ciemności, gdzie jest przewodnik, a gdy mu pokazano miejsce w tłumie żołnierzy, skąd słyszeć się dawało helweckie chrapanie, znowu począł przebiegać swoją platformę. Późno w nocy na pół skostniały, mierzony przez ciężką senność oparł się piersiami na skałę i patrzył w obóz nieprzyjacielski. Na górze ogniska ledwo tlały. Nad każdym z nich stał nieduży, ruchomy krąg blasku. Za to na dole u jezior wciąż drew przyrzucano. Generał, widząc, jak w

głębinie, która zdawała się być podobną do ciasnego lochu, wśród ciemności nieprzeniknionej, za wiałkami mgłami — ogień żywe pełgają, bezwładnym ruchem wyciągał ku nim swe zgrabiące ręce... Od czasu do czasu zrywał się, kurczowo ścisnął pięście i walił niemi w noc z taką wściekłością, jakby z niej chciał uderzeniami świt wykrześć. Niekiedy wydawało mu się w gorączkowym marzeniu, że widać już brzask nad górami. Gdy złudzenie pierchało i gdy znowu czuł na sobie nieskończoność ucisku tych mroków, — chwycił za rękojeść szpady, ażeby ją wyrwać, zbudzić wojsko, skoczyć do ataku i wreszcie poczuć na ciele upragniony żar ognia. Czasami wydało mu się, że słyszy stąpania tłumu wrogów i słuchał wtedy z bijącym sercem...

Kolumna francuska drzemała. Żołnierze budzili się z zimna, ale zapadali w sen ze znużenia. Drzemali tam skupieni, jak stadło ptaków, które przypadło na tej wyżynie, żeby odpocząć, nim świt nastąpi. Le Gras nie mógł usnąć. Siedział zgarbiony, dzwigając na plecach kadłub rozrosłego Prowansalczyka, śpiącego mocno i mając nogi uwieszone pod jakimś innym ciałem. Noc była ciemna. W niezbadanej przestrzeni, doły, objęte za dnia jednym niedbałym spojrzeniem, wydawały się jeszcze głębszymi, lodowiec, mający dziesięć kilometrów długości, majaczył w mózgu, jak morze twarde i martwe. Podmuchy nocne przynosiły szmery i łkania Rodanu. Bliżej w niejakiach odstępach czasu sły-

chać było, jak krople nieustannie spadają w głąb lodowca. Ten dźwięk, z niewysłowioną melancholią rachujący czas wśród głębokiego milczenia pustyni, w pewnych minutach zacichał, stłumiony, przez szmery niespokojne a wyjątkowe. Słysząc było, mimo chrapania żołnierzy i odgłosu kroków Gudina, niby podziemny, uduszony trzask, głuchy szczęk, jakby niezmiernie daleko ktoś bił kiedyś niekiedy młotkiem w koniec szlabki żelaza. Le Gras rozmyślał o tych surowych szelestach, o tem schowanym życiu lodowca. Widział w marzeniu, jak tam, niezmiernie głęboko, kryształły lodu, niby dżamenty rzną twarde kamienie, jak niezmiernie pracowicie przez całe wieki szlifują granit, drażą otwory, żłobią rowy i jak cały ten lodowiec przez wieki idzie. Opór chropawych granitów i praca lodów — zdejmowały go dziwną litością. Wiekuiste prace istot i ciał nieznanych, żelazne prawa krwi i żelaza — układały się przed jego oczyma w dziwnie smutne orszaki i widowiska...

Z tych marzeń obudził go przejmujący głos Gudina:

— Mottet! Garcia-Piles! Lantennac! Le Gras!

Kapitan wydobyl się z pomiędzy żołnierzy i podszedł do generała.

— Czy nie wiesz, kapitanie, która to godzina? — zapytał Gudin, szcękając zębami i mamląc wyrazy po dziecięcemu.

— Nie, nie wiem, ale wydaje mi się, że musi już być znacznie po północy.

— Czy spałeś obywatelu?

— Nie.

— Wszak w tamtej stronie jest wschód?

— Wschód? Tak, sądzę że jest w tej stronie — odpowiedział Le Gras, wskazując na Urseren.

Z lodowca wiało zimno tak przesywające, że kapitan serdecznie pożałował kadłubów żołnierskich. Stojąc na otwartem wzniesieniu, czuł zarazem, że jest wśród mgieł, przeciągających z szybkością.

— Le Gras! — rzekł Gudin — czy spostrzegasz te góry tam daleko, czy je widzisz?

— Tak, widzę.

— Otóż... ja ich przedtem wcale nie dostrzegałem. To jest chyba... świt... — szepnął z uniesieniem, jakby wymawiał słowa modlitwy.

Istotnie, w mrocznej dali zarysowały się cypłe Alp Glerneńskich. Nie było jeszcze ani pozeru światła w otaczającej ciemności, ale czarne postacie łańcuchów górskich wydzierały się już z kuru nocy. Pod wpływem zimna żołnierze budzili się i kasłali. Le Gras i dowódca skoczyli natychmiast i nakazywali ciszę, grożąc najcięższymi karami. Kaszlącym zatykano usta. Odrobinka czerwonego wina we flaszcze krążyła wśród żołnierstwa, jak czara nektaru. Wydzierano ją sobie przy użyciu pięści i pazurów. W szeregach, ulokowanych niżej, obok lodowca żołnierze jęczyli z zimna. Szczęki im tak skostniały, że nie byli w stanie ust otwierać, mroz kłuł ich swemi szpilkami w płuca i sprawiał uczucie łamania w stawach.

Tymczasem szary brzask coraz bardziej wyróżniał góry od nieba i pozwalał widzieć mgły. Zbudzonym ludziom w głowach się mąciło na widok burych, rozległych, ruchomych jezior, zalewających wszystkie niziny, wypełniających po brzegi każdą przepaść, niby płyn olbrzymie czary. Mgły burzyły się w dolinach, wzbijały na pewną wysokość i bądź opadały zaraz, bądź porwane przez ostre ciągi wiatru — pędziły nad górami. Gudin wrócił do swego obserwatorium i spoglądał na obóz nieprzyjacielski. Ujrzał tam żołnierza, który rzucał suchy mech do ogniska i grzał sobie ręce w słupie iskier, spostrzegł sztyldwacha, jak czarne widmo przesuwającego się w kręgu światła, szczyt i jedną pochyłość namiotu, smugę wody jeziora, oświetloną przez iskry... W tym obozie, poza skałami, zakrywającymi go od wschodu, była jeszcze noc zupełna. Gdyby Gudin mógł ogarnąć wzrokiem całą pozycję i gdyby mógł widzieć drogę, którą należało przebyć, okrążając pierwszy szczyt łańcucha Nägelisgrätli, byłby uderzył natychmiast.

— Za chwilę się rozjaśni — mówili do niego oficerowie, szczękając zębami z zimna i szpadami z niecierpliwości.

Nim się obejrzel, biaława światłość rozlała się po niebie. Ujrzano daleki horyzont, najeżony turniami. Cały obóz Gudina zerwał się na nogi, z niewymownem utęsknieniem wyglądając słońca. Ustawiono żołnierzy, o ile to było możliwe, w szyku bojowym na osypisku — i jeszcze wyczekiwano.

Wojsko pragnęło bitwy z głodu, zimna i wściekłości. Kilku oficerów pobiegło z Fahnerem zbadać przejście.

Każda minuta ich nieobecności wydawała się Gudinowi i żołnierzom niezmiernie długą. Dreszcz wewnętrzny już nie zimnem, ale jakąś nieznaną boleścią przeszywał serca. Mgły, rozhuśtane w rozdołach — lekkie, suche, powiewne szły teraz na cztery strony świata. Zakrywały sobą wszystko, nawet góry okoliczne. Tylko w pobliżu czerniał coraz wyraźniej zmoczony przez nocne tumany ten ze śpiczastych wierzchołków Nägelisgrätli, przy którym stał dowódca. Gdy tak w mocnem skupieniu wszyscy czekali, nagle ze szczytów, wznoszących się na końcu doliny Urseren, wypadł promień słońca. Jak straszliwa śmiga jednym swoim obrotem uderzył w niewidzialne pod mgłą wąwozy, przeszył je do dna i wszystkie tumany naraz w górę wygarnął. Całą masą swoją z głębin wypadły, rozdarły się na dwie wielkie części i, uciekając, gnały wskrós powietrza. Już jednak po chwili znowu się złączyły w jedno ogromne, latające morze. Zdawało się, że w nawale, tych mgieł słońce przygasa. Kolumna stała w grubych, pierzastych tumanach, które niby fale morskiego przyływu, biegły od łańcucha Nägelisgrätli i zwolna się cofały. Po wtórnie gdzieś wysoko mgły się rozdarły i słup płonącego blasku uderzył między góry.

Wpółśród obłoków, fruwających w owej chwili z dolin wprost do góry, dał się słyszeć przyciszony,

lecz dobitny głos oficerów, wracających z po-
śpiechem.

— Marsz! Marsz!

Kompanie ruszyły naprzód, strącając w pocho-
dzie drobne kamyki i zsuwając się ze stromej po-
chyłości. Przebyto niewielkie płyty lodu, samotnie
tu i ówdzie leżące; zstępując ciągle na dół, okrą-
żono cypel łańcucha.

Pochyłość, raptownie idąca do Rodanu, łączyła
się z przełęczą Grimsel. Rosła tam już niziutka
trawka i mchy, tak miłe dla nóg, strudzonych na
martwych polach.

Skoro kolumna weszła na przełęcz, oficerowie
pędzili oddziały, jakby im ogniem palono podeszwy.
Gudin rozdzielił swoje wojsko na dwie części i
mniejszą w tej chwili wysłał na kraj przełęczy od
strony Hasli. Dwa bataliony cwałem pobiegły wśród
rojących się mgieł nad brzegiem otchłani. Tak
pędząc z bronią nastawioną do ataku, pierwszy sze-
reg tego oddziału zobaczył przed sobą szyldwacha.
Przebito go kilkunastoma pchnięciami, zanim zdą-
żył myśli zebrać i wystrzelić. O kilkadziesiąt kro-
ków dalej spotkano drugiego. Ten był tyłem do
biegnących zwrócony, a szedł wolno przed siebie.
Zginął, nie dostrzegłszy, skąd nań śmierć przyszła.
Gdy te dwa bataliony francuskie dosięgły drugiego
krańca przełęczy i oparły się o skaliste wyniosłości,
łańcuchem idące w stronę Finsteraarhornu, ofice-
rowie zaczęli rozsuwać kompanie, zajmować prze-
strzeń już zdobytą i tym porządkiem osaczać

Austrjaków półkolem, niby włokiem, którego matnię stanowił oddział Gudina. Promienie słońca coraz natarczywiej i głębiej wnikały między mgły, pędzące nad przełęczą, więc skoro tylko Gudin zobaczył pierwszych żołnierzy cofającego się łańcucha, porwał za szpadę i na całej linji gruchnęły bębny.

Wrzask przeraźliwy przerwał ciszę i Francuzi, jak lawina, runęli w obóz austriacki. Zaledwie wpadli do kotliny jeziora Todtensee, zobaczyli przed sobą tłum ludzi wylękłych, bezbronnych i na pół ubranych. Twarze Austrjaków były bielsze od ich mundurów. Niektórzy podnosili się dopiero ze snu i oparci na rękach przyjmowali śmierć z ręki wroga, spadającego na nich jak gdyby z obłoków. Bataliony, uszykowane nieco dalej, chwyciły za karabiny, i nie będąc w stanie przebić się z za tłumem bezbronnych, wstrzymywały jego ucieczkę na rzeź go wydając. Francuzi rznęli bez miłosierdzia. Zwaliwszy na ziemię pierwsze szeregi, stawali wśród trupów i z okrutną wprawą kłuli ludzi, zasłaniających się wrzaskiem i gołemi rękami. Niektórzy odwracali karabiny i, chwyciwszy za bagnet i lufę, walili w masę głów kolbą i kurkiem, niby maczugą. Szerzyło to istne spustoszenie. Krew bryzgała aż na piersi i ręce mordujących, którzy bijąc bez przerwy, wrzeszczeli:

— Żarliście tu! Grzaliście się! Spaliście tu w cieple!

Tłum bezbronny, cofając się, naparł silnie na

piechotę, stojącą za nim, i wpychał ją w jezioro. Całe kompanie austriackie stały już po pas w wodzie, a żadną miarą nie mogły szkodzić nieprzyjacielowi. Słońce rozpędziło mgły, i dowódcy ujrzeli swoją zgubę. Droga do Hasli była zagrodzona, droga ku Furce również, a wojsko, jak stado krów, waliło się w jezioro. Skrzydło, stojące na brzegu od strony Alp berneńskich, rzuciło się w bród i, prawie po szyję zanurzwszy się w wodzie, wyszło na brzeg przeciwny w sile kilku setek ludzi. To samo chciał uczynić oficer, kierujący tłumem od strony Nāgelisgrātli. Zduszony w kupie żołnierzy na pół obłąkanych, stojąc po pas w wodzie, bił cofających się, ciął ich z wściekłością szpadą, chwycił ich za bary, pchał na bok i bez ustanku krzyczał ochrypłym głosem:

— Na lewo! Na lewo!

Żołnierze Le Grasa, schodząc z pochyłości, strzelali do tej kupy ludzkiej, posuwającej się ku środkowi jeziora. Zabici, padając, ciągnęli za sobą żywych, ranni chwyтали ich za nogi. Ruchomy tłok ludzki przewracał się na upadających i żołnierze zdrowi tonęli na płytkiej wodzie. Inni puszczali się wpław napoprzek jeziora, żeby zginąć od celnego strzału, lub zatonać na środku. Zrozpaczony oficer wydarł karabin jednemu ze swych żołnierzy i w furji jął przebijać struchlałych, wrzeszcząc nieludzkim głosem:

— Na lewo!

Zdawało się, że ludzie nie słyszą jego głosu, nie

czują uderzeń. Przez chwilę stał na miejscu, a potem rzucił się sam w głębinę, stamtąd wyszedł na płytkie otwarte miejsce i szybko iść zaczął śród pierzchającej wody wprost na oddział Le Grasa. Gdy już był niedaleko od brzegu, podniósł karabin, zmierzył w kupy ludzi i wystrzelił. Kula przeszła młodego żołnierza, który z jeńca austriackiego stał się grenadierem francuskim. Wypadł on z szeregu, zwałił się, jak kłoc drzewa, i trzepnął twarzą o ziemię. Stary jego towarzysz jęknął głucho i poczuł w sobie żal tak przeszywający i ból tak ogromny, jakby jego samego kula w pierś trafiła. Tymczasem inne oddziały austriackie posuwały się brzegiem jeziora i, otrząsając się z przerażenia, zaczęły walczyć z Francuzami. Ucichły tam wystrzały i tylko suchy szcęk bagnatów słychać było w orgii jęków. Żołnierz Matuz, pochłonięty przez walkę, opuścił towarzysza i biegł ciągle w szeregu, ścigając wrogów. Na drugim brzegu jeziora, gdzie już poprzednio schroniła się część brygady austriackiej, grażowała panika. Żołnierze cisnęli na ziemię karabiny, nie poznawali dowódców i jak lunatycy wdzierali się na stromą skałę, ażeby wciąż zjeżdżać z wysokości. Całe kupy żołdactwa oszałałymi głosami wrzeszczały: „p a r d o n” — pomimo, że nieprzyjaciel wcale na nich nie nacierał. W pewnym zagłębieniu kotłiny, pod urwistym występem góry tuliła się gromada, złożona z jakich trzystu tęgich chłopów, i dygotała, jak jeden chory człowiek. Wystawieni na zewnątrz tak pchali się w tłum, że

przypartym do ściany oczy wychodziły z orbit i niemal pękały klatki piersiowe. Kto mógł wydobyć rękę ze ścisku ciał — walił pięścią i odpychał sąsiada. Stary major, któremu zdarzało się widzieć podobne sceny, zwracał się do żołnierzy łagodnie i uprzejmie, głaskał ich pod brodę i rzewnym głosem przemawiał we wszelkich językach austriackich: w czeskim, z kiepska - węgierskim, galicyjskim, lodomeryjskim...

— Patrzcie-no, moje dzieci, patrzcież sami! — mówił — możemy tędy, po drugiej stronie wody ustąpić wygodnie z placu. Chodźcież, bo tu nas wybijają, zakłują jednego po drugim, jak skopów. Chłopcy! patrzcież...

Perswazje te nie odnosiły żadnego skutku. Jeżeli ktoś z gromady krzyknął — „pardon” — wnet cały tłum poczynął wołać jednym głosem. Gdy Francuzi zgnięli nad wodą stawiających opór, gdy złamali ich szeregi i puścili je w rozsypkę, a sami w pościgu ukazali się na płaszczyźnie, wtedy dopiero zrozumiano starego majora. Cała kupa zaczęła uciekać po brzegu wysokim. Ten brzeg, zawalony omszonymi głazami, jest szczytem skał Mayenwand, które stromemi ścianami zstępują w dolinę Rodanu. Sączy się po nich biała nić strumienia, wypływającego z jeziora Todtensee. Grenadjerowie sadzili po bryłach, jak spłoszone danielle. Przykład pierwszego oddziału pociągnął inne i z górą tysiąc ludzi wyrwało się tamtędy z matni, zanim Gudin, który nieogłędnie opuścił wyjście

drogi do Vallais, nadbiegł z drugiego końca jeziora. Zajęty tam był tępieniem i braniem w niewolę rozproszonych kompanii. Nim ubiegła godzina czasu — na szczycie Grimsel bój ustał, gdyż wszyscy Francuzi rzucili się w pogoń za Austryjaczami, uciekającymi na łeb na szyję zygzakowatą starą drogą. Wrzawa krwawego boju dochodziła w owej chwili z obydwu spadzistych pochyłości. Kiedy wybuchło było na szczycie przejścia natarcie, dwie kompanie francuskie, stojące u mostu na Aarze, rzuciły się na oddziałek austriacki, pilnujący jezior grimselskich. Ten, przerażony niepojętymi dla niego strzałami na górze, napadnięty przytem zniecka, tył podał i zaczął wstępować na Grimsel. Kilku żołnierzy wysłanych na górę, wróciło z przerażającymi wieściami. Wtedy oficerowie, zaskoczeni nagłością wypadków, postanowili dostać się jeszcze wyżej i słamądz rozpatrywać położenie. W chwili, kiedy ze szczytu obydwie kolumny walczące zbiegły nad Rodan, oddziałek austriacki bił się na drugiej stronie góry z Francuzami, idącymi na przełęcz. Cesarscy nabijali szybko i wprawnie karabiny i strącali z urwisk trójkątne kapelusze. W miejscach stromych czatowali z bulwami kamiennymi, podważali bagietkami płyty olbrzymie i sychali je na dół.

Tymczasem Matus Pulut szybko pełzał przez pojowisko, upatrując swego kamrata. W czasie bitwy udał rannego i leżał między trupami. Teraz wstał z ziemi i, tuląc się do przykopy, która formuje wklęsłość jeziora, podobną do miski, zmierzał do

wiadomego mu punktu. Z łatwością wśród nieprzyjaciół zabitych odszukał rannego. Młody żołnierz miał lewy policzek zbiczony, całe lewe ramię we krwi, oczy otwarte i martwe. Matus przyłożył ucho do jego piersi i słuchał. Po chwili chwycił go pod pachy, zawlókł na brzeg jeziora i jął mu zlewać głowę wodą. Krew obficie występować zaczęła z pod pasa na lewym ramieniu. Wtedy wiarus rozpiął ostrożnie mundur towarzysza, zdjął mu z szyi chustkę, rozerwał koszulę i znalazł ranę. Kula rozwalila ramię i wkręciła między kości strzępy munduru i koszuli. Doświadczony wojak prędko, sposobem barbarzyńskim, wyjął z rany ów flejtuch, ranę wodą przepłukał i zaczął oglądać się za szmatami. Wpadły mu w oczy namioty oficerskie. Skoczył tam co żywo i znalazł w pierwszym z brzegu tłumoczek z cienką bielizną. Zabrał cały, przy sposobności rozbil obcasem wykwinną szkatułkę, której nie mógł na prędce otworzyć, znajdujące się tam flakony, szczotki srebrne, grzebienie i kubki wpakował w zanadrze i wnet wrócił do rannego. Podarł przyniesione koszule na długie pasy, jeszcze raz wychlustał wodą krwawiący się otwór i mocno całe ramię obandażował. Wlał bezprzytomnemu w usta zawartość płaskiej flaszki wina, znalezionej również w oficerskim puzderku, wytarł mu twarz i zaczął potrząsać nim, szepcząc z rubaszną czułością:

— Felek, ty się patrzaj!... Musimy iść, bo tu pludry zara przylecą. Felek! dy my tu siedzieć nie będziemy. Otwieraj oczy — mówię!

Ranny istotnie zaczął głęboko wdychać powietrze, ale oczy jego wciąż jeszcze nie widziały. Matus oparł jego głowę na kamieniu i twarz mu nastawił pod słońce, a sam jeszcze raz obszedł namioty. Zabrał z nich wszystko, co było do jedzenia i picia, wrócił do towarzysza, usiadł przy nim i zaczął szybko jeść, a właściwie „ép a é”, co było pod ręką: chleb, jak kość suchy, obgryzione kawałki pieczonej kury, duże skiby sera szwajcarskiego... Siedząc tak na ziemi i pożywiając się, prędkimi wejrzeniami obejmował pobojowisko. Cały pas nagiętego gruntu między górami i u brzegu jeziora jęczał i płakał. Tu i ówdzie wśród kamieni coś się poruszało. Dźwigały się plecy, wznosiły roztrzaskane głowy, szamotały ręce, i usta nadaremnie wzywały pomocy. Krew strugami płynęła do jeziora i wielkie jej plamy owalne rdzawiły się u brzegów na granatowej wodzie. Ciepłe, rzeźwe, wesółwie-trzyki, nasycone wonią ziół alpejskich, leciały z za Furki, z za Gotthardu, z dolin włoskich, z pod ciepłych niebios i, jak zwykle, pochylały drobne fale do zwilżania ździebeł karłowatych trawek na brzegach. Tu i ówdzie wypływały na powierzchnię wody rozdęte trupy i zaraz znikwały w ciemnej głębinie pośrodku jeziora. U płytkiego brzegu fale, kołyszając się, odsłaniały twarze, czoła, głowy, ręce, trzymające się kamieni, nogi, stulone w boleści, ramiona skurczone wśród zgrozy przedśmiertnej. Jeszcze bliżej ludzi zabici i utopieni leżeli kupami tak wielkimi, że fale przybijając do brzegu, chlu-

pały między nimi, jak w karpach i lochach wysokiego brzegu.

Gdy Matus ukończył swój posiłek, od szczytów Nägelisgrätli wychyliło się kilku ludzi. Zbliźali się ostrożnie do krawędzi przełęczy i zaglądali w dół ku jeziorom grimselskim. Byli to felczerzy francuscy z chirurgiem pułkowym na czele. Jeden z nich wstąpił na wydatny kamień, przyklęknął na nim i spojrzął na wał najbliższy. Matus przypatrywał się właśnie tym ludziom, rachując, że mu pomogą w opatrzaniu towarzysza, kiedy nagle felczer, stojący na kamieniu, plackiem upadł na ziemię, zsunął się w zagłębienie i pędem zaczął umykać w stronę Furki. Wszyscy jego koledszy uczynili to samo. Tuż za kamiennym wałem słychać było gwar zbliżających się oddziałów austriackich, które pod naciskiem bojaźni opuszczały znakomitą pozycję i wciąż szły dalej. Matus nie miał chwili czasu do stracenia. Wzywał felczerów znakami, ukazywał im rannego, ale tamci mignęli się tylko w przelocie i popędzili ku źródłom Rodanu. Wówczas Pulut umieścił Feliksa na bryle kamiennej, podsadził się pod niego i wziął chłopca na bary, lekko, jak worek żyta. Ręce zranionego bezwładnie wisały, twarz oblepiona długimi, zmoczonymi włosami, martwo upadając, wbijała staremu wiarusowi na oczy kapelusz i gniołła wysoką kite. Na szmatach, ściskających ranę, wynikły i szerzyły się błado krwiste plamy. Zsiniałe usta Feliksa od czasu do czasu szeptały jakieś słowo, a z piersi wydzierano

się westchnienie. Matus opasał się jego nogami, mocno chwycił w kupę prawą dłonią ręce na pierśsiach, pod lewą pachę wetknął sobie karabin i szybko powędrował. Ścieżka wyłożona gładkimi płytami, dosyć szeroka i wygodna, zbiegała odrazu na dół łamaną linią.

Krew biła Puluta, jak obuchem w skronie, własna głowa ciężła mu, jak kowadło, krzyż zgięty tak bolał, jakby w nim trzaskały kręgi każdej chwili i za każdym krokiem. Słońce tam paliło w samo ciemnie i gorący, duszny wiatr w gardle ścisnął. Na dole widać było obadwa wojska. Cesarscy szli nagłym marszem w dobrym porządku, i żałobna ich czarnobiała linia łamała się w całej dolinie, z kształtu do litery S podobnej. Tylne szeregi wciąż się odstrzeliwały Francuzom, którzy napadali bagnetem, pragnąc do reszty zmiażdżyć całą kolumnę. Wyżej, u stóp lodowca, skąd wypływa rzeka, Matus ujrzał ze zdumieniem duży tłum białych mundurów, otoczony przez kilka kompanii francuskich.

— Hej! hej! — zawołał z uciechą — są pludry w kozie.

Poł mu zlewał czoło i przed oczyma tańczyły kręgi czerwone, złote i czarne. Zebrał siły, wytchnął przez chwilę, ujął sobie dogodniej rannego i szerokimi krokami puścił się dalej. Gdy był na połowie wysokości skał Mayenwand i gdy już odróżniał gwar wojska i szum Rodanu, niespodziewanie usłyszał nad lewem uchem szept bolesny:

— Matus... Matus...

— Nie bój się nic! Idziewa se oba. Ino się tam trzymaj choć zębami za warkoczek.

— Pić... wyszeptał Felek.

— Zaraz będziemy pili, bracie, aby z tej oto górreczki zeskoczyć. Patrzaj se tymczasem na góry... Widzisz, jakie to z tela zdroje wytryskają...

Oddziały walczące skryły się powoli w zakręcie wąwozu. U stóp Grimsel i Furki z prawej strony ruczaju stał obóz francuski, pilnujący wziętych do niewoli. Odebrano im karabiny i tornistry. Co było do skonfiskowania — zabrano, co do zjedzenia — połknięto. Żołnierze pozbawieni oręża siedzieli na ziemi niedaleko lodowca i z najzupełniejszą obojętnością dawali wiązać sobie ręce własnymi pasami, co kaprale i podoficerowie francuzcy szybko i zręcznie uskuteczniiali.

Gdy Matus się zbliżał, nagle w tym obozie wybuchła wrzawa. Ludzie zwróceni twarzami do lodowca, wywijali karabinami i krzyczeli zapamiętale. Matus ostrożnie posadził Felka na ziemi i, zdjęty ciekawością, wznosił oczy ku górze. Zobaczył na lodach Rodanu dwie kompanie austriackie, które na Grimsel weszły były z Hasli. Znalazłszy na przełęczy stopy trupów, dostrzegłszy z góry szybką ucieczkę całej kolumny więźniów na dole i zamknięte drogi, — oddział ten skorzystał z czasu, rzucił się w bok na lody. Kule Francuzów trzaśniały w bryły, ale w niewielkim dystansie od podnóża, więc Austriacy szli śmiało i forsownym marszem przebyli wpoprzek lodowiec, skacząc nad szczelinami

z tafli na taflę. Z głeczeru weszli na górę Furka. Idąc pod samym jej szczytem, dosięgli bezpiecznie wąskiego przejścia, po którego jednym zboczu spływa cienką smuzką dopływ Rodanu, a po drugim z płatka brudnego śniegu Reuss się sączy. Republikanie ścigali wrzaskiem te małe postacie, których długie nogi szybko migały się na zrębie skał, wystających z ziemi. Więźniowie spoglądali ze smutkiem na szereg umykających współtowarzyszów i powierzali jedni drugim jakieś myśli.

Matus, dowłókszy się do pierwszych szeregów, zaraz odszukał felczera i zmusił go giestami i wykrzykiwaniem najrozmaitszych słów francuskich do zajęcia się rannym. Żołnierze otoczyli Felka i ulitowali się nad nim. Ten rzucił mu na kolana czystą serwetkę płótna, inny jakiś krótki sznureczek, inny nadgryzioną skórę sera, a jeszcze inny — mały pieniądz. Felczer rozwiązał bandaż Puluta, oczyścił ranę umiejętnie i zajął się nałożeniem rzetelnego opatrunku. Stary wiarus nie znalazł w kotlinie swej kompanii. Pokazywano mu, że odeszła na dół. Oficerowie pokrzykiwali na niego i dawali mu znać, na migi, że ma w te tropy iść za swym oddziałem. Pulut westchnął, polecił chorego towarzysza opiece felczerskiej, rozprostował kości, karabin zarzucił na ramię i poszedł brzegiem rzeki.

Przebywszy dwa zakręty wąwozu, stanął u podnóża wyniosłości, w samym końcu doliny Vallais. Rodan wymiółł tam z ciasnych przejść na płaską wonną łąkę wielkie staje okrągłych kamieni i po-

rozzucał je na znacznej odległości od samego łożyska. Naokół czerniały lasy świerkowe, pełne jeszcze wilgoci rannej. Niżej widać było miasteczko Oberwald, skupione obok wysmukłego kościoła, za niem niedaleko drugie — Obergestelen. Matus wyminął obydwą, pustą i milczącą, jak mogiły. Zbliżając się do Ulrichen, spostrzegł z najgłębszym podziwieniem szeregi francuskie, wracające w stronę Furki. Gdy się złączył z oddziałem Le Grasa, powziął wiadomość, że Austriacy, uciekając przed kolumną Gudina, zobaczyli na swej drodze wojsko francuskie, brygadę Thurreau, idącą od Viesch w górę Rodanu. Mając przed sobą okropną perspektywę znalezienia się między dwoma wojskami Francuzów, pośród skał niezbyt szerokiej doliny, — generał Strauch rzucił się ze swą całą siłą w dolinę poprzeczną, Eginenthal, która od Ulrichen prowadzi na włoską stronę, przez Nufenen Pass wkracza do Val Bedretto i u stóp Gotthardu łączy się przy Airolo z doliną Tessynu. Poszli tamtędy bez przewodników, dróg i ścieżek, wprost przez wertepy. Gudin, nie mając zamiaru dzielenia się palmą zwycięstwa z Thurreau, cofnął się forsownym marszem z Vallais i znacznie przed południem stanął u stóp Furki. Po krótkotrwałym spoczynku przy lodowcu, po wysłaniu grabarzy oraz felcerów na Grimsel, uszykował swe wojsko, powiązanych więźniów wystawił na czele i ruszył na przełęcz. Wąską ścieżką po stromem zboczu kolumna wdarła się na szczyt około południa. Cały

rozdół między widłami górskimi był zupełnie pusty. Nieprzyjaciel pomknął w ucieczce aż do Hospenthal. Przed nadchodzącymi otwarła się dolina Urseren, idąca w dół, na zachód. Nizko w otchłani bielił się Reuss. Po prawej ręce stała grupa Gottardu, wielkie góry, pokryte zgniło-zielonymi mchami, które tym skałom nadają pozór starości i jakiejś szczególnej nędzy. Te miękkie, jednostajne szaty gór, tu i ówdzie tylko lśniące jaśniejszą zielonością, podarte są przez suche łożyska, niby przez szwy, które się dawno rozlały. Sypią się tamtędy aż do stóp górskich, aż do niestrudzonej pracownicy — rzeki, warstwy szarego rumowia. Szczyty wietrzeją, łamią się, kruszą, rozpadają i w proch rozsypują, lecą do wody, która je pochłania i wiecznie wynosi aż do dalekich okolic.

Wojsko szło z furją bojową po perci odwiecznej, po szlaku, który niegdyś przebywały słonie Hannibala. Ten tłum obdartusów ważyłby się być uderzyć na całą armię, zgruchotałby bagnetem twierdzę, gdyby była na drodze, a poddać się nie chciała, zwiódłby bitwę z samą śmiercią... Idący w szeregu nie mogli otrząsnąć się ze złudzenia, że tuż za ich plecami postępują towarzysze, którzy zginęli na Grimsel; że okrzyki ich słyszą w czystym powietrzu, łoskot ich kroków słyszą na głazach ścieżki... Ranny Felek był przedmiotem czułości całego wojska. Niesiono go pieczołowicie, jak biedne, chore, obce dziecko, gdy z sił opadał, a podtrzymywano litościwie, gdy sam szedł z góry.

Drogę przecinały strumienie, białe, dzikie, piękne wody. Z za skał wychylały się tu i owdzie krawędzie lodowca Rodanu. Wprost z góry, idąc na łeb na szyję, zstąpiono do Realp, małego przysiółka u stóp Furki. Kamienne domki, przykryte dachami z płaskich głazów, stały tam wokół kościoła z czerwoną wieżą po obudwu stronach wybrukowanej uliczki. Nędza, kwicząca z głodu, wyglądała ze wszystkich kątów tego schronienia pasterzy. Domy i obory, tyłami swymi i kupami nawozu zwrócone do drogi, były pozamykane i puste. Napróżno walono kolbami w każde drzwi i wybijano szyby. Nie było tam żywego ducha. Żołnierze wyrwali szufłady, rozbijali drzwi szaf — i nie znajdowali nic zgoła. Nawet oficerowie rzucali oczyma po kątach, szukając jakiegokolwiek pożywienia — nadaremnie.

Wszystko to zresztą bardzo krótko trwało. Wyruszono z Realp w przewidywaniu potyczki. Droga szła po prawym brzegu Reussu, który tam płynie wolno, cicho i tak ospale, jak rzeczka na równinach. Już na połowie drogi z Realp do Hospentalu zauważono, że piechota austriacka wali w górę na Gotthard. Ta ucieczka bez bitwy wywołała szaloną uciechę. Cała kolumna trzęsła się od śmiechu, wywijiała pięściami, potrzasała karabinami i wrzeszczała na całe gardło.

Tymczasem z za garbu podnóża nagle jak błyskawica wypadł oddział huzarów i w pełnym galopie, co koń skoczy, rzucił się na kolumnę Gudina. Nim

zdołano porwać się do strzału, już wzniesione szable spadły na karki. Huzarzy żgali konie ostrogami, zdzierali je uzdami i ciskali się w środek szeregów piechoty, tnąc z ramienia na prawo i lewo. Wrzask boleści, krzyk oficerów i głośny dźwięk broni stokrotnem echem latały między górami. Trwało to krótką chwilę. Gdy popłoch minął i gdy się opamiętano, że tej konnicy jest szwadron wszystkiego, — uderzono weń bagnetem, zrzucono z siodeł kilkudziesięciu, a reszta pierchła, jak wichher. Po chwili widziano ich już na skrętach szerokiej, bitej drogi, którą właśnie przez Gotthard budowano w tym roku. Gudin wszedł do Hospenthal, zajął je, pozostawił w tem miasteczku jedną kompanię, a sam rzucił się w pogoń za Austryakami. Generał Simbschen, dowodzący trzema batalionami i szwadronem jazdy, które uciekały, szedł ostro w rozległej, pustej i melancholijnej dolinie Gotthardu. Dowódca francuski ścigał go zajadle. Grenadjerowie padali z utrudzenia, głodu i skwaru. Austriacy nie zatrzymali się zupełnie na przełęczy gotardzkiej i odrazu poszli stamtąd na dół, do Airolo.

Kolumna francuska stanęła przy Gotthard-Hospiz, między smutnemi, czarnemi jeziorami, których tam pełno. Trafiono w Hospiz na resztki zapasów austriackich i spożyto je z apetytem. Trzy bataliony pod komendą Labruyèra ruszyły jeszcze dalej, w dolinę Tremola, gdzie Tessin zlatuje pięknymi wodospadami. Zstąpiwszy ze stromych skał

po załamaniach drogi na taras górski, skąd widać było w dole czerwone dachy Airolo, obserwowano przez szkła miejscowość. Labruyère ujrzał w Airolo dużo wojska. Grupy żołnierzy ciągnęły jeszcze z Val Bedretto. Byli to chorzy, ranni i utrudzeni z oddziału, rozbitego na Grimsel. Kolumny Simbschena i Strauchena spotkały się w Airolo i zaraz wyruszyły na dół, ku Biasca. Maszerowały zaś krokiem tak zamaszystym, że nie oparły się, aż na trzeci dzień w Bellinzonie.

Gudin, sprawdziwszy wypadek oddalenia się wojsk austriackich, urósł na duchu. Wykonał, co był zamierzył. Wziął Grimsel, wygnał nieprzyjaciela z Vallais, zajął Furkę i Gotthard. Miał zamiar powiedzieć o tem Le Grasowi, lecz czuł się znużonym. Wolał tedy leżeć na trawie, patrzeć na chmury, które leciały tuż niedaleko po trawie i z których wśród najczudniejszej pogody spadały krople dżdżu, ciężkie jak śruciny i dziwnie bezradne. Generałowi nogi popuchły, brudne palce wyłaziły z butów, język tak wysechł, że możnaby nim, jak drzazgą podpalić w piecu. I ludzie za przykładem dowódcy leżeli na wznak, oddając się bezgranicznemu lenistwu. Gdy się trzy kompanie z obserwacji cofnęły i wypoczęły, zabrano się do odwrotu ku Hospenthal. Żołnierze szli i teraz ochotnie, ale już jak to mówią, podpierając się nosami. Każdemu zdawało się, że jego pięty ważą po kilka centnarów.

Gdy mijali garby, łagodnie zresztą pochylone,

które przebyli niedawno bez wiedzy, w pasji ściągania nieprzyjaciół, czuli istotną bojaźń, aby nie kazano wypadkiem drapać się znowu na wyżynę już przebytą. Każdy z piechurów chętniej zgodziłby się dostać ostre baty, a nawet jakieś lekkie pchnięcie — byleby już nie iść pod górę. Nad wieczorem ściągnęli się wszyscy do Hospenthalu. Gdy się tam znaleźli, towarzysze, pozostawieni, jako załoga tego miasteczka, jęli rozpowiadać o ucieczce dwu batalionów austriackich, które wyszły ze szczeliny górskiej za Andermatem. Ujrzawszy w Hospenthalu ciemne mundury i kapelusze francuskie, odrazu rzuciły się na lewo od Andermatu w górę i znikły w dolinie Renu, uchodząc ku Chur. Gudin nie posiadał się z radości. Stanąwszy pośród szeregów, zaprosił swoich żołnierzy na wieczerzę do obozu przy moście djabelskim. Wojsko z okrzykiem posunęło się ku Andermatowi po pięknej, cichej łące doliny. Zmierzch już zapadł, gdy cała kolumna bezładnym tłumem zbliżała się ku szczytowi, w którą spokojny Reuss nagle się fryga. Gdy tak w znużeniu leżeli na miejsce spoczynku, pomiędzy skał wywinęła się jedna, druga, trzecia kompania i w szyku bojowym, z nastawionym bagnetem rzuciła się na szeregi Gudina. W głuchej ciszy wieczornej, przerywanej tylko szelestem kroków i dalekim szmerem wody, nagle jak grom uderzył o góry krzyk:

— „Vive la France !”

Z następujących szeregów odpowiedziano tym

samym okrzykiem. Wtedy z tamtej strony wystąpił ogromny i pośpny generał Lecourb, szybko zbliżył się do młodego bohatera i objął go wobec dwu wojsk serdecznym i długim uściskiem. Po chwili zawołał, mignawszy szpadą:

— Niech żyje generał Gudín!

— Niech żyje generał Gudín! — wrzasnęły oba dwa tłumy.

Noc zeszała na te wąwozy. Cała przestrzeń od Andermatu do Göschenen zamieniła się na obóz. Ognie błyskały, piekło się mięso krów i wołów, sprowadzonych aż z Waasen. Więźniów, pojmanyh przez Gudina na Grimsel, umieszczono w ciasnem przejściu za Urnerloch, tuż obok Djabelskiego Mostu. Siedzieli tam jak szczury w łapce. W pobliżu rozłożyła się obozem kompania Le Gras'a. Pulut umieścił przy swem ognisku rannego Felka, posłał mu łoże z mchów i trawy, i gotował dla niego w jakiejś szczególnej skorupie niemniej szczególny a jakoby natychmiast uzdrawiający rosół zaczarowany. Chory drzemał. Kiedyniekiedy otwierał oczy i z głębokim podziwem patrzył na blaski ognia, latające po niezmiernych skałach, po urwiskach, które zachodziły swemi zębami tak szczelnie jedne za drugie, że przesmyk obok rzeki wydawał się podobnym do pieczary bez wyjścia. Kiedyniekiedy zaczynał wsłuchiwać się w szum obłąkanej wody, rozbitej na puch i lecącej po oślizgłych schodach — i wtedy strach go ogarniał. W pewnej chwili usłyszał, że Matus z kimś rozmawia.

Radby był słuchać tego głosu, ale mu wnet wszystko zubożyło... Gdy znowu dzwignął swe ciężkie powieki, zobaczył przy ogniu Matusa i trzech więźniów. Stary mówił do nich szeptem. Twarz mu gorzała. Felek nie mógł pojąć, co w tem jest, że on rozumie o czem tamci mówią, i nie mógł pojąć, czemu go tumani ta dziwna senność... Chciał się, poruszyć, przysunąć do ogniska, mówić do nich i wypłakać łzy, które mu jak skała przygniatały serce. Tak mu było gorzko, tak smutno... Długo znowu nic nie widział, błąkał się między przedziwnymi widzeniami i cudami, długo dźwigał swoją lewą rękę i pragnął kiwnąć nią na Pulutę, ażeby mu coś powiedzieć. Ocknąwszy się zobaczył go przy ognisku, pykającego z fajczyny, obok jeńców austriackich, patrzących w niego, jak w tęczę. Matus miał kapelusz zsunięty na same brwi, patrzył się w ogień i głośno gadał.

— Na prawo — mówił — były tam nieduże jałowczyki, na lewo pole dopiero zawleczone. My stali w tej roli, a tu kule rznęły, co zachowaj ta Panie! Od tego dymu, to mówię wam, gęby ludziom poczerniały, pasy poczerniały. Tu huk taki, co moment który z naszych piach nosem orze, jakiesi pułki w dymie lecą... Zda nam się spojrzeć na bok, a tu ci on sam drze piechotę. Naczelnik. Kapelusza na nim niemasz, gęba usmolona. Wzion stanął przy nas w szeregu, pokazał pałaszem, coś zagadał... Ech! Jak my, ścierwa, poszli z nogi, to mówię wam chłopcy, święta ziemia dygotała...

Felek pragnął słuchać tego opowiadania, ale znowu wielka niemoc i przykry sen zakryły mu oczy i ciemność wchłonęła go w siebie.

II.

Stary pan Krzysztof Opadzki szedł zwolna drogą od Młyńskich Smugów ku Zimnej. Miał na sobie lisiurę do kolan i buty kozłowe z wysokimi cholewami, to też ciepło mu było, a nawet odrobinę za duszno. Całą zimę spędził w doskonale ogrzanych pokojach, przesiedział w fotelu obok pieca, więc gdy raz pierwszy z drzemania zimowego wysunął się na dwór, ogrom powietrza upoił go i rozmarzył nie gorzej od kulawki celnego tokaju. Wiosna już ogarnęła ziemię. Przed tygodniem puściło do gruntu, a w danej chwili już tu i ówdzie z wierzchu podsychało. Na drózkach uczęszczanych była jak gdyby błona z tęgiego rzemienia, uginająca się pod stopą. Po drogach stały jeszcze rozkiste bajora, w brózdach szklily się długie smugi wody, a w skibach noga przepadała do kolana. Poranek stał nad okolicą, jak uśmiech szczęścia na twarzy człowieka chorego. Dalekie zarysy widnokręgu powlekał niebieskawą barwą nikły i rzadki opar, bliżej naokół czerniał grunt obnażony i martwy. Jeszcze nie było ani jednego piórka trawy. Wygony i miedze leżały pośród niwek jak sztaby bez-

duszne. Głęboko smutna równina szła daleko, na kraj świata, za odległe mgły powłóczyste. Na niewielkiem wzniesieniu widać było kilka suchych topól, czarny dach i długą, białawą, z czerwonymi słupami ścianę owczarni w Brodzkim folwarku. Nieco dalej wysuwały się z za piaszczystego wzgórka chałupy we wsi Budy Brodzkie. Już we mgle ciemnymi kresami znaczyły się wśród pól równych i milczących topole i budynki w Kostrzewnie. Na końcu drogi, połyskującej od wody w kolejach, grzało się na słońcu miasteczko Zimna, a obok niego dominium Zimna ze swemi licznymi zabudowaniami i wielkim starym dworem, schowanym w kępach drzew parku i owocowego sadu.

Pan Opadzki szedł sobie noga za nogą, przystawał, nakrywał oczy dłonią i patrzył na przestwór pod słońce. Znał tam każdą skibę, każde kretowisko, każdy zakręt płytkiego strumienia. Gdy przyszedł do brzozowego gaju, który z prawej strony drogi ciągnął się nad pastwiskami, stanął znowu i, kiwając głową, mrucał do siebie:

— Patrzcież się państwo, jak to bydlę wyrosło! Przecie tu było goło, jak na nosie, zupełnie goło jeszcze tak niedawno. Zaraz... Kiedyż to tutaj było goło? Jechaliśmy, pamiętam, z „Sophie” na wójaz poślubny... Pojazd był otwarty, dzień był ciepły, tak ciepły, tak ciepły, tak jasny...

Zbliżył się do wysmukłych brzózek o białej, śladkiej, tu i ówdzie splekatej korze, której delikatne warstewki, porysowane czarnymi prążkami, zwi-

jały się niby płatki welinowego papieru — i, spoglądając na cienkie, czarne gałązki tych drzew, bujnie pędzące w górę, — wzdychał za czemś dawnem i, widać, niepowrotnem. W tym zagajniku grunt był twardszy, więc stary pan wszedł między zarośla i krok za krokiem postępował. Leżały tam zbitą masą czarne, zeszłoroczne liście, tak już przegniłe, że z nich pozostały tylko kształty. Wilgoć spływała po nich, jak po tłuszczu i zsączała się w maleńkie strumyki, zdążające ku rowom. Ciepłe słońce wyprowadzało na białej korze brzoź i na czarnem, lśniącym podścielisku różne kolory, żywe światła i cienie. Zdawało się, że tam w głębi lasu pośród wielkiej ciszy coś prawie niewidzialne na oślepie błądzi, wynika i przepada, czasami chyżo ucieka, albo się czaji, stąpa na palcach, i z za pniów wygląda. Pan Opadzki lał między drzewkami, coś do siebie wciąż szeptał, jakby z drugą osobą prowadził ożywioną rozmowę:

— I to już wszystko minęło — patrzajcież państwo! I to już taka późna starość nadciągnęła...

Znowu stanął, zadarł głowę do góry i przypatrywał się miętlastym czubom brzozek.

— A to sobie rośnie, jak gdyby nigdy nie... Jesteś, czy cię niema, stary, wypróchniały dziadu, nam wszystko jedno... Oto jak sprawa stoi!

Piękne nawet w tak późnej starości oczy pana Opadzkiego, o dużych, wyblakłych, niegdyś błękitnych źrenicach — poczerwieniały na małą chwilę...

Strzepnął ręką, pięknym, bezwiednym ruchem musnął siwego wąsika i wyszedł z lasu na ścieżkę. Gdy tam stanął i powiódł wzrokiem po okolicy, uderzyły go dwa błyszczące punkty. Zdala, od strony Kostrzewna szły dwie osoby w mundurach wojskowych.

— Aha! — szepnął pan Opadzki — trafili przecie i do mnie! Jeszcze mi tylko tego brakowało...

Cofnął się do lasu, wynalazł duży kamień w pobliżu drogi, usiadł na nim i postanowił czekać na żołnierzy, którzy szli w stronę Zimnej. Już z odległości pan Opadzki dostrzegł kity proste, ponosowe, na pół łokcia wysoko sterczące ponad kaszketami w kształcie wiaderek i białe pasy, krzyżujące się na granatowych mundurach. Dwaj żołnierze posuwali się zwolna, nurzając w błocie swe wysokie, czarne kamasze. Co chwila przystawali i prowadzili głośną rozmowę. Gdy podeszli do łasku, staruszek, czekający na nich z biciem serca, zobaczył, że jeden z żołnierzy ma rękę uciętą, bo lewy rękaw jego munduru plątał się bezwładnie za każdym poruszeniem, i że twarz drugiego jest blada, jak płótno, krok chwiejny i ramiona schylone ku ziemi. Obadwaj patrzyli ciągle w stronę Bud Brodzkich, a starszy, wywijając swą jedyną ręką, wciąż wołał:

— Budy... mój Jezus kochany... Widzi Felek... Budy...

Gdy tak zapatrzeni przechodzili koło zarośli, pan Opadzki przetarł oczy i aż uniósł się nieco ze swego

kamienia, szepcząc do siebie:

— W imię ojca... Toż to Pulut!

Tymczasem dwaj grenadjerowie napoleońscy zeszli z szerszej drogi na polną ścieżkę i szybszymi krokami podążyli przez czarne role, błyszcząc na słońcu swym pięknym ubiorem i guzami.

Długo stary dziedzic Zimnej siedział nieruchomo na swym kamieniu i patrzył w ziemię. Wargi jego drgały nerwowo i wypadał z nich szept głuchy:

— Pulut... Matus Pulut...

Głęboka, nieujęta cisza zaległa znowu cały przestwór. Snuły się w niej dawne wspomnienia pana Opadzkiego, kojarzyły zapomniane wypadki, rzeczy wielkie i bardzo drobne, miłe i obmierzłe. Nagle stary pan wstał ze swego siedzenia i ostro poszedł ku domowi.

Gdy wkroczył w aleję suchych topól, gdzie w rowach bełkotały nurty wody zabłoconej iłem, a gdzie tak dobrze było mu oddychać jeszcze przed dwiema godzinami, — miał w twarzy surowość, dolną wargę wzgardliwie obwisłą i w wielkich, białych oczach połysk lodowaty. Pod wpływem poruszenia wewnętrznego jego figura wyprostowała się, krok nabrał pewności, a ruchy — życia i siły. Dość szybko przebył całą długość alei, otworzył furtkę w tylnej części parkanu, otaczającego sad, i wkrótce znalazł się przed gankiem dworu. Był to dom stary, obszerny i bardzo cudaczny. Do głównej jego budowy, na której przodzie znajdował się ganek o sześciu murowanych słupach, dobudowa-

no, widać różnymi czasy, szereg przybudówek, dachów, daszków, a nawet wieżyczek. Te dachy piętrzyły się jedne nad drugimi, szły w różne strony i przedstawiały w tyle dworu dziwną kupę gontów. Jedne z nich były już czarne i spleśniałe, inne niedawno, widocznie na jesieni ubiegłego roku, przybite. Na podobieństwo dachów tłoczyły się tam ściany przybudowanych pokoików. Sprawiało to wrażenie takie, jakby stary dwór pękł od tyłu i jakby przez szczelinę wybuchnęła pewna część jego wewnętrznych pokojów, izb i bokówek. Od frontu były okna spore i równe, tam na tyłach — przeróżne, poumieszczane wysoko i nisko, niektóre bardzo nisko, gdyż wraz ze ścianami do połowy w ziemię się wsunęły. Naokół stał prześliczny — nie las, nie park — dziki ogród. Wielkie dązewska: lipy, klony, wiązy, mnóstwo sosen, jodeł, świerków, brzoź — rosły tam, jak chciały. Niegdyś nakładano widocznie pęta na swobodny rozwój tego gaju, gdyż w jego głębi znać było, jakby trzy szerokie półkola, czy grupy. Z czasem jednak młoda podszewka leśna rzuciła się wszędzie, wybijając i zagłuszyła dawną symetrię. W grupie starych jodeł widać było nawet szare, pozieleniałe ze starości, tu i ówdzie mchem zarośnięte ciało nagiej driady kamiennej. Na jej ciemieniu szczerze wynawozonem przez kawki i wróble, rosły dosyć rozłożyste badyle, których słupki wyglądały na wiosnę, jak włosy, dęba z prerażenia stojące. W pobliżu jakiś drugi obnażony kadłub nurzał swe greckie oblicze

w mazowieckiem bagnie, zadarłszy bezwstydnie poutrącane nogi. Tu i ówdzie między drzewami stały piętrowe i parterowe białe oficynki, zbudowane na wzór domostw szwajcarskich, albo świątyń z greckimi portykami. Dalej, za parkiem stały gumna, dworki ekonomiczne, mieszkania czeladzi folwarcznej, a na brzegu nudnej rzeczki spała pośród piachów miejscina rolnicza.

Gdy pan Opadzki począł stukać nogami, strząsając z butów glinę, wybiegł naprzeciw niego pokojowiec, rozwarł drzwi wehlowe i zaprowadził go do szerokiej sieni. Stamtąd pan Opadzki udał się na prawo i, minąwszy kilka dużych pokojów, znalazł się w swej ulubionej kancelarji, izbie niewielkiej, cieplej i zacisznej. Lokaje podsunęli mu fotel, obity skórą, szybko zdjęli z niego ciężką lisiurę, szuli buty i przybrali go w miękkie suknie, płytkie pantofle i ciepłe pończochy.

— Gdzież to Franuś? — zapytał stary dziedzic.

— Pojechał konno.

— Dokąd pojechał konno?

— Nie wiemy... — odpowiedzieli pokojowcy.

— Jak tylko przyjedzie, żeby mi tu był zaraz — rzekł pan Opadzki, wyciągając nogi na poduszce w stronę ognia, który płonął na kominie.

Gdy sam został, a drzwi się zamknęły i kroki uciły — zwiesił głowę i powtórnie upadł na duchu. Marzenie unosiło go w ów przestwór zamarły, podobny do krajobrazu, nad którego ponurem oddaniem noc wisi, niby całun grobowy. Wszystko

przeminęło, wypaliło się i zgasło, jak ogień. Ciemny mrok zadusił nawet rozżarzone węgle i połknął ich nędzną łunę. W tym starcu skąpym, nieprzystępnym, milczącym i smutnym niktby nie poznał dawnego rozrzutnika, sławnego kpiarza, który w życiu swoim zwiódł, jak mówiła pani krakowska, dwa tuziny cudzych żon i jedną. Z możnego panka, ze stronnika możnych, który zawsze i wszędzie był tam, gdzie oni hulali, stał się zwolna, w ciągu dziesięcioletniego samotnictwa w Zimnej jeszcze bardziej odpychającym swą dumą, ale teraz już prawie wszystkich. Stopniowo zapomniano o nim. Dwaj synowie, między których podzielił fortunę, bawili się co zima w Warszawie — aż do skutku. Młodszy puścił przez palce cały majątek, a gdy mu urzędnik pruski, według procedury sądowej, przybił na drzwiach pozwy, ogłaszające sprzedaż przez licytację publiczną jego majątków, z resztą spuścizny uszedł za granicę, wstąpił do szeregów armii, walczących pod Napoleonem i zginął w bitwie pod Stradellą. Wdowa przezeń osierocona zamieszkała w Zimnej, gdyż ani z mężowskiego majątku nic jej nie pozostało. Trawiła życie w smutku i nudzie, ukryta w kilku izbach na lewem skrzydle dworu. Starszy syn p. Opadzkiego żył również wesoło i hulaszczco. Posiadał jeszcze wioski, które mu ojciec przeznaczył, ale tylko nominalnie. Krwawe wojny na zachodzie Europy, a także inne okoliczności — wpłynęły były na podniesienie raptowne ceny dóbr gruntowych. Ta chwilowa i zmienna wartość roli

posiadanej była przez hipoteki pruskie umyślnie notowana, jako stała, i za taką poczytywana przez ogół. Zboże, które produkowały stada zgłodniałych chłopów pańszczyźnianych, szło spławniami rzekami na morze, znajdowało pomyślny zbyt na targach europejskich, dźwigało coraz wyżej cenę dóbr i chwilową zamożność szlachty. Agenci domów bankowych z Berlina chętnie, na niski procent udzielali pożyczek, które ziemiaństwo na swe dobra zaciągało. Hipoteki wmawiały w dziedziców, że są bogatszymi, niż sądzili, więc szlachta brała od agentów pieniądze obiema rękami. Zaciągano te długi hipoteczne, aby spłacić prywatne, ażeby podnieść stopę życia do tej wysokości, jakiej hipoteka poniekąd się domagała, ażeby wreszcie żyć, jak się patrzy, pohulać do upadłego, kiedy jest za co. Nominalna wartość ziemi i jej płodów, która była przedmiotem umów, niedługo przysła, jak bańka mydlana, gdy rzeczy wracać poczęły na zachodzie do miary zwykłej. Jedną z najpierwszych ofiar złudzenia był Teofil, starszy syn p. Opadzkiego. Posiadał jeszcze, co prawda, znaczne dobra, ale właścicielami ich byli „d e f-a-c-t-o” panowie Trudhy et C-ie z Berlina.

Stary pan Opadzki, siedząc na swym fotelu, miał w pamięci te wszystkie okoliczności i czuł je dziwnie żywo. Dawne gorycze poruszyły się w nim i wzburzyły od chwili, kiedy zobaczył Pulutę. Chłop pańszczyźniany, który w ciągu dwunastu lat gdzieś się podziewał, który oddawna uchodził za niebosz-

czyka, teraz, jak gdyby nigdy nic, wrócił i szedł do wsi z beczelnym spokojem.

Po bitwie jeńskiej i wkroczeniu wojsk napoleońskich do Berlina — komisje sądowe, powiatowe, kreisgerichty, inkwizytorjaty śledcze, a, co najważniejsza, pan justycjarjusz, opłacany przez dominium — wszystko to cofnęło się z widowni.

W dystrykcie, do którego należała Zimna, w kącie zapadłym i od traktu wojennego dalekim, przez całą zimę nie pokazał się ani jeden Francuz, a Niemca na lekarstwoby nie dostał. Wszystko tedy stało na opiece boskiej i tylko siłą bezwładności trzymało się kupy. Pan Opadzki do niczego się nie wtrącał. Dochodziły go tylko echa wielkich bitew i poruszeń armii francuskich. Kiedy Francuzi nasyłali mu wykazy rekwizycyjne, wydawał, co na niego przypało, — kiedy brano rekruta — zgadzał się również i wyprawił był już kilkunastu parobków do właściwej kamery. W ogóle jednak pragnął spokoju i końca wszelakich awantur. Jak wszyscy — miał podziw i żywił zabobonny pietyzm dla „wielkiego” Napoleona, ale miał także dla niego głuchy i nierozważający żal ojcowski... Z imieniem cesarza Francuzów związana była w imaginacji starca i ściśle i mocno pamięć o synu zaginionym. W gorzkim smutku swoim, w żałobie, która go nieraz obejmowała nagle pośród wesołej pogawędki, albo w toku myśli codziennych, — usiłował niejednokrotnie zobaczyć mogiłę drogiego dziecka i z boleścią docierał zawsze myślami do wspólnej

jamy, gdzie wwalono kupę zabitych chłopów i jego, potomka odwiecznego rodu rycerzy. Wtedy po zimnem, wystygłem obliczu spadały dwie, trzy łzy, zaiste krwawe...

Gdy tak siedział przed ogniem, melancholja wiała nań z każdego końca pokoju. Czuł, że zbliża się do niego żal bezlitośny i że niedługo nóż swój zbójcecki podniesie. Wstał z krzesła i, pragnąc jakoś rozbić gorzkie myśli, wyszedł do sąsiedniego pokoju. Za dawnych, weselszych czasów śniadano tam i obiadowano. Był to salon długi i dosyć wązki. Środek jego zajmował ogromny stół, przy którym mogło ucztować kilkadziesiąt osób. Na ścianach wisiały portrety przodków. Były tam płótna zczerniałe, na których ledwo było widać figury tak twarde i sztywne, jakby były drewnianemi kłodami, pookręcane w karmazynowe i żółte stroje; były jakieś monstra z twarzami niby kobiet, zaopatrzone w przedziwne fioki, były brzuchate postacie o wielkich, czerwonych gębach i obwisłych policzkach, były wreszcie wizerunki ludzi nadzwyczajnie pięknych. Na ścianie dobrze oświetlonej wisiał portret rycerza w zbroi, malowany tak wybornie, że ta wielka osoba zdawała się z ram wychodzić. Ciężki, żelazny pancerz był dla tego husarza strojem, wdzianym dla parady. Była to raczej odzież, którą wielkie ramiona i szerokie piersi do swego kształtu i na swą potrzebę urobiły. Tęga ręka, wysunięta naprzód, wspierała się na ułamanym drzewcu, surowa twarz spoglądała nie na widza, lecz dokądś nad jego gło-

wą... Na ścianie przeciwległej wisiał portret pana Opadzkiego i jego nieboszczki żony. Obadwa te płótna malował swego czasu Lampi. Stała tam piękna kobieta z łonem prawie odkrytem, zapatrzona w dal z udanem rozmarzeniem. Trzymała w ręku niezwiązany bukiet kwiatów. Obok siedział pan, prawdziwy pan, wesoły i niedbały. Ciemny, jakby złotawy koloryt leżał i na jego twarzy ogolonej, na prześlicznych, miękkich, wydelikacowanych policzkach i na czole alabastrowo białem. Pan Opadzki począł chodzić w zamyśleniu dokoła stołu powolnymi krokami starca. Posadzka z cicha skrzypiała pod stopami, nikły cień osoby przeciągał się po ścianach. Okna tego pokoju wychodziły na ogród. Stały w nim drzewa bezlistne, ponure w swem obnażeniu i jakby spuchnięte od dżdżów wiosennych. Na drogach, w głębi parku, w dalekiej przestrzeni rozścielała się przed oczyma starca rozbita pustka, w którą młot śmiertelnych przeczuć uderzył i wszystką rozkosz życia, jak próchno wysypał. Pan Opadzki odwrócił wzrok i z westchnieniem spojrział na portret żony. Przez chwilę patrzył na ten wizerunek niezwykle podobny, ale oddający wiernie miniony nastrój, jakby pogrzebane marzenia i tę namiętność, która już przed laty zginęła. I nagle stary pan gorzko zapłakał. Poczul w sobie, w swych kościach i w sercu, zgrzybiałość, która już wszystko strawiła, zwiastunkę śmierci. We łzach, toczących się po jego policzkach, wypływała skarga na ten czas niemiłosierny, co zabiera młodość, zdrowie, tęgość

bark i kolan, ognie ze krwi, szczęście, wesołość i dostatki. Z niezmiernego tłumu osób znajomych ta oto jedna malowana postać żony mogła z nim dzielić wspomnienie uroczych zabaw, nie skrępowanego niczem wesela, dowcipnych intryg, cudownych kobiet i mężczyzn, stojących na szczycie kultury. Już tego nikt nie mógł pojąć, nikt nawet marzeniem ogarnąć bajecznego świata, który przeszedł niby cień i zstąpił do grobu. To też we łzach pana Opadzkiego wyrażała się niezmierna jego miłość dla cienia, zakłętego w małowidle. Gdy tak zatopiony był w sobie, drzwi się uchyliły i oczekiwany Franuś wsunął głowę do pokoju. Był to faworyt dziedzica. Spełniał zarazem funkcje lokaja i przełożonego nad całą administracją majątku. Marszałek, każdy z podstarościch i wszyscy służący musieli wykonywać najściślej wszelkie jego rozkazy, pomimo, że on właściwie był urzędnikiem do skrobania dziedzica w pięty, gdy ten nie mógł zasnąć. Franuś był to człowieczyzna młody, chudy, niski i niepozorny. Chodził zawsze w kożuszku i butach z bardzo długimi cholewami, które nadzwyczaj dobrze uwydatniały kabłąkowatość jego nóg, chudych, jak patyki. Sypiał w małej izdebce tuż przy pokoju pana Opadzkiego i ciągle mu dotrzymywał towarzystwa. Franuś wszedł do pokoju, drzwi za sobą przymknął starannie i z uciechą, wysiłkiem powstrzymywaną, rzekł szeptem:

— Panie, powiem dużą nowinę, ale dostanę pas jedwabny...

— Nic nie dostaniesz, ośle jeden, a nowinę schowaj sobie w kieszeń i idź za drzwi. Co mi ty powiesz? to że Pulut przylazł?...

Franuś aż usta otwarł ze zdumienia.

— A jegomość skąd wie

— Wiem i cała rzecz. Byłeś na Budaćh?

— Byłem — a jakże: Tam tak wre, co zachowaj Boże!

— Co wre?

— No — co wre? Chamstwo wre w karczmie.

— Czegoż oni znowu? Chrzciny?

— Nie chrzciny, tylko „r a t i o n e” tego Puluta. Jechałem sobie na szkapsku od Kostrzewna, aż tu, patrzę, idą jakieś dwa czupiraki. Wziąłem ich na oko i doczekałem, aż zawinęli do Berka. Skoczyłem tam, kobyłę zostawiłem u węgła i wlałem do alkierza. Tamem se usiadł i wysłuchałem, co gadali. Jakem przyszedł, to już się ściskali cała kompania koligacji. Panie! co on tam gadał ten obieżyświat... Pasja mię rwała, żeby złapać harap do garści, zedrzyć mu ze łba to czapczysko i zagnać draba do wyrzucania gnoju, ałem się bał.

— Bałeś się? — zapytał pan Opadzki z dziwnym błyskiem w oczach.

— A bałem się. Chociaż oni są już emeryty i kaleki, idą wprost ze szpitala w Tokarach, chociaż stary nie ma łapy, a ten modszy, obcy, przez całą zimę chorował na krwawą biegunkę, ałem się bał. Jeszczeby ten Napolion wrócił tu ku nam i kazał mi łeb uciąć. Mnie lichy po tem z takim zacząć!

— Co mi tam pleciesz! — przerwał mu z nagłą dziedzic. — Włóż oto na koń, jedź mi jeszcze raz na Budy, schowaj się w alkierzu, czy jak sobie tam chcesz, tylko mi przywoź rychło wiadomość, co i jak. Skąd i co zacy jest ten drugi — to chcę wiedzieć detaliczne. Dokładnie sobie zanotuj „d i c t a” podłe, jeśliby się na nie ważyli, i wracaj co żywo.

Franuś pociągnął na siebie pasika, uderzył się harapem po cholewach i wyszedł, a pan Opadzki kazał prosić do stołu. Obiadowano nie w wielkiej sali jadalnej, lecz na końcu dworu w wąskiej izbie, sąsiadującej z alkierzami rezydentów i pokojami wdowy. Gdy stary pan wszedł do tej jadalni, wszyscy tam już byli zgromadzeni i witali go niskimi ukłonami. Pod oknem siedziała wdowa, dumna, chora na zęby, nie mówiąca do nikogo i wiekuiście rozdąsana; na szarym końcu trzymało się na brzeżkach krzesłek, poznaczanych specjalnemi insygniami, kilku starych niedołęgów, z bojażnią śledzących z pod oka ruchy i miny dziedzica. Pan Opadzki mruknął kilka słów na powitanie, do każdej z osób zwrócił się z jakimś uprzejmem słowem, usiadł i zaczął szybko chlipać polewkę. Dania przynoszono z kuchni, leżące na drugim końcu wielkiego dziedzińca, to też obiad trwał zawsze niezmiernie długo. Sługusy zaczęły właśnie wnosić czwartą potrawę, kiedy za ścianami dworu dał się słyszeć głośny tętent, bryzgi rozpryśniętego błota padły aż na szyby okien i w tumanie pary

Franuś osadził przed gankiem spienionego konia.

Pan Opadzki zaczął mrugać szybko powiekami i rzekł przez zęby do jednego z rezydentów:

— Wołaj go waść tutaj z łaski swojej.

Franuś zjawił się po chwili z głową obwiązaną jakimiś szmatami, z pod których wyglądały plamy krwawe.

— A to co? — rzekł pan, wpatrując się w jego oczy.

— A cóż? Chłopstwo mię zobaczyło... Wciągnęli mnie do izby.

Franuś usiadł na stołku i zapłakał głośno.

— Ty mi tu, proszę cię, nie lamentuj, tylko rzecz opowiadaj!...

— Ładna opowieść — ani słowa! Jak jeden człowiek zaczęli wrzeszczeć, że na pańskie więcej nie pójdą... Racice mi pod nos tkali, i parli mię do ściany. Szczęście, że się dorwałem jakoś do drzwi, chlusnąłem za próg i na szkapę. Ale, gdym już miał nogę w strzemieniu któryś mię zdzielił w łeb kamieniem. Mrocзки mi stanęły w oczach... Szczęście, że kobyłisko poszło w cwał, bobym ta był całego łba nie wy dostał. Jaśnie pan zawsze mnie samego... — zaczął z płaczkliwie górnego tonu.

— Franuś... milez z łaski swojej — rzekł pan Opadzki spokojnie, wydymając wargi i patrząc na okno.

Po chwili wznosił brwi, rozłożył ręce i rzekł:

— To trudno... to trudno! Kto sieje wiatr...

Wszyscy uroczyście milczeli, tylko Franuś głośno stękał.

— Żeby tak na mnie padło — nno! — zaczął mówić basowym szeptem najmłodszy z rezydentów, patrząc na kolegę, jakby tylko do niego jednego kierował swe uwagi. Nie dokończył, gdyż pan Opadzki zwrócił się nagle do Franusia i rzekł:

— Idź tak, jak stoisz z gałganem na łbie i sprwadź mi tu „gulonów”. Idź od dymu do dymu i mów, że ja ich proszę do siebie, a żywo, żywo...

To powiedziawszy, wstał od stołu, złożył ukłon współbiednikom i ruszył prędko do swej kancelarji.

Nie upłynęło jeszcze i pół godziny, gdy już tłum drobnych mieszczan, zgromadzony w izbie kredensowej, oczekiwał na dziedzica. Byli to przeważnie ludzie starsi, niektórzy bardzo starzy. Wszyscy ubrani byli w długie błękitne kapoty, nie wyjmując tych, którym dla uzupełnienia odświętnego stroju brakowało butów. Ci wszyscy „obywatele” miasta Zimnej odrabiali we dworze pańszczyznę pospołu z „chamskimi duszami”. Na twarzach ich, na twarzach czarnych, suchych, wynędzniałych, malował się niepokój, w postawach widniała służalcza cierpliwość.

Gdy pan Opadzki wszedł do izby, wszyscy, jak łan zboża na wietrze, schylili się ku ziemi.

— Widzieliście, obywatele — zaczął dziedzic odrazu, wskazując na Franusia, który wszedł za nim

— widzieliście, co to chłopkowie robią, jak sobie poczynają?

— Widzieliśmy, jaśnie panie — odpowiedzieli chórem.

— Zranili człowieka i byliby go zamordowali. Za łaską Bożą tylko uszedł szczęśliwie. Mówił wam resztę, więc wiecie. Cóż ja mam począć z takimi ludźmi, pytam się was, co począć? Wczoraj było tam jeszcze cicho i po bożemu, dziś zjawia się taki Pulut...

— Cham, jaśnie panie, zawsze jest psia dusza...

— rzekł Maciejowic, jeden z najstarszych mieszczan.

— Nie, ale cóż ja mam począć, pytam was się?...

— A cóż my, jaśnie panie?... My za sprawiedliwośćią... — rzekł ktoś z tłumu.

— I ja także. Sam wyroku dawać nie chcę, aby nie powiedziano, że w gniewie sędzę. Pan justycjarjusz uciekł... kogoż ja mam wziąć, jako arbitra. Was wzywam, obywatele, was, dawny Urząd Radziecki. Jest tu Stępień, jest Opałka, jest Szczepański, Mądrasik... Przecie oni w Urzędzie zasiadali, dekrety ferowali i na prawie się znają.

Tłum poruszył się żywo. Głęboka, wielka radość odbiła się rumieńcami na twarzach starych mieszczan.

— Sprawiedliwie jaśnie pan mówi — rzekł Opałka. — Siadałem, jako ławnik w starej Radzie. Nasze prawo mańdeburskie je świątobliwe. Jak Zimna Zimną — tu obywatele sędzili wedle Saxonu,

aby się złe i niegodziwe kryminały kajały, występki surowie potępiali dla rozgromienia wszelakiego złodziejstwa.

Ręce starego mieszczanina trzęsły się gorączkowo, w oczach płonął entuzjazm, w głosie drgała nuta błagalna. Dreszcz uniesienia przejmował tłum cały.

Błysnęła im nadzieja twardego sądzenia, dzierzenia władzy i dostojęństw, które byli przed laty stracili.

— A więc wybiercie z pomiędzy siebie Urząd Radziecki — rzekł pan na Zimnej głosem cichszym, jakby zebrany sekret powierzał. Ja każę aresztować Puluta i tego drugiego.

— To chyba gorącym prawem będziemy go sądzić, jako że pojmany jest na uczynku?

— Tak, tak... gorącym prawem.

— Jaśnie dziedziu, — rzekł jeszcze Opałka — w naszym prawie dwojako się inkwizycje prowadzą: jedne są dobrowolne, a drugie są konfesaty. Tak prawa nasze świadczą i tak przed wieki nasi ojcowie sądzili. Czy niby, w razie jeśli zbrodzień trwa w umyśle swym i afekcie podłym, czy niby, jaśnie panie godzi się myszkę puścić?

— Co za myszkę? — rzekł pan Opadzki, krzywiąc się i strzelając w palce.

— Jeśli zbrodzień nie chce wyznać na inkwizycjach dobrowolnych świętej prawdy, jako było, tedy się bierze według sprawiedliwości myszkę, jego się na ziemi rozciągnie i do słupków obnażo-

nego przywiąże, a tę myszkę się w szklanę wpuści i tę szklanę do pępka mu przystawi. On ta już wtedy nic nie zatai.

— Kożę, kożę lepiej — rzekł Stępień, przymykając mądrze powieki. — Złoczyńcę się do ławy przywiąże, nogi jego słoną wodą namaże, potem kożę przywiedzie, która sól je rada, aby pięty onego złoczyńcy lizała. Który ból powiadają być okrutny bez obrażenia cielesnego.

Pan Opadzki milczał przez chwilę. Na wargach jego przemykał się uśmiech zimny i straszny.

— Ja nie wiem, moi kochani, jakie są prawa mańdeburskie. Sądźcie według świętej sprawiedliwości, jak ona każe, a patrzcie na krzywdę moją — oto wszystko.

— To my, jaśnie dziedzicu, dziś zaraz tę Radę ustanowimy?

— Tak, tak, zaraz — rzekł pan Opadzki.

Mieszczanie skłonili mu się do stóp i z wolna opuścili izbę. Tegoż wieczora Franuś na czele kupy hajduków i parobków dworskich aresztował Pulutę i Felka. Obydwaj wtrąceni zostali do łozzku miejskiego, gdzie za dawnych czasów przestępców trzymano.

III.

Felek, wyprowadzony na świat z ciemnicy, biegł szybko między roslými drabami, którzy go szturkali i naglili do pośpiechu. Ogromne drzewa parku tonęły we mgle, przestworów i wsi dalekich wcale jeszcze nie było widać. Chłodna rosa kwietniowa śnieżną farbą powlokła czarne dachy w miasteczku, skiby roli odwróconej, górne żerdzie w płotach i daszki na murach, okalających cmentarz i kościół. Gromadka, prowadząca Felka, przebiegła dwie piaszczyste uliczki, minęła rynek, dokoła którego stały mieszczańskie domostwa z wystającymi podcieniami na słupach, i okrążyła mury cmentarne. Niedługo były tam zapewne fortyfikacje obronne, bo resztki grubych murów widać było tu i ówdzie, przytulone do występów i urwisk gliniastych. Całe to miejsce od dawien dawna nazywano Zamczyskiem. Mocne kamienne ściany, przerośnięte bluszczami, tarniną i berberysem, waliły się, rozsypując na okół kupy gruzów. Gdy Felka wyprowadzono za cmentarz, oczom jego ukazał się duży tłum ludzi, zgromadzony przy jednej z takich resztek starego zamku.

Ludzie cisnęli się zwartą kupą, wspinali na palce i próbowali zajrzeć do środka koła. W głębokim milczeniu słuchano głosu, wychodzącego z głębi gromady. Przybywających wstrzymano i gestami zalecono milczenie. Felek posłyszał basowe dźwięki pisarza dworskiego, który zarazem prowadził ba-

danie i trzymał pióro w sprawie Puluta. Pisarz czytał stękając:

„...taka inkwizycja padła przed sądem naszym, a za owe ekscesy jego kryminalne ferujemy niniejszym sądem naszym według świątobliwego prawa, aby żywcem był ćwiertowany i ćwierci na palach przy gościńcu i na granicy bite. Lubo ten zbrodzień zasłużył na śmierć według prawa, dekretem wyrażonego, ad instantiam jednak jaśnie wielmożnego pana, a pana dobrodzieja naszego, relaktuje się dekret tak, aby tylko wyż nazwany Matus Pulut mieczem był ścięty. Co podług ułożenia ferowanego dekretu, to co jest wyrażone niechaj się wykonaniem spełni. Pereat mundus, fiat iustitia. Amen”.

Felek patrzył w głąb zbiegowiska osłupiałym wzrokiem. Wtem ludzka masa cofnęła się na stronę i ze środka wyszedł na małe wzniesienie człowiek krępy z długimi włosami, które mu aż na plecy spadały. Popychał on Matusa, trzymając go za ramię. Pulut miał oszewkę koszuli rozerwaną, włosy zwichrzzone i twarz jak śnieg białą. Felek wspiął się na palce i zobaczył, że gruby parobas ustawił na kupie gliny — pniak szeroki. Do Puluta zbliżył się stary księżyna, dał mu do ucałowania pasyjkę i coś na ucho szeptać zamierzał. Matus porwał się z miejsca, stanął obok pnia i zawołał ochryplym głosem:

— Ludzie!...

Kat szarpnął go za ramię i mocno wstrząsnął nim

kilkakrotnie. Pulut znowu, jeszcze głośniej, z krzykiem prawie wołał:

— Słuchajcie mię, ludzie, słuchajcie...

Oprawca trzasnął go w zęby wierzchem dłoni i rozkrwawił. Tłum zaszeptał i odstąpił nieco dalej. Wtedy Matus ukląkł sam na ziemi i prędkim ruchem położył łeb na pniaku. Ciekawi znowu ścisnęli się kołem i Felek ujrzał tylko nad głowami szybki błysk miecza.

Młody żołnierz przeląkł się bardzo. Drżąc na całym ciele kazał się zaprowadzić przed radnych i obiecał wyznać wszystko: z jakiego kraju, czyj jest poddany... Dotąd przy badaniach wyznać tego nie chciał.

KONIEC



IMPRIMERIE DE LA S.N.I.E.
32, RUE DE MÉNILMONTANT
PARIS-XX^e.